

Desmond Bagley



Odwet

Tytuł oryginału: *Spoilers*

Copyright © Brockhurst Productions 1978

© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-59-8

Arie Books Sp. z o.o.

Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB, Espadon Publishing Sp. z o.o. oraz Arie Books Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Desmond Bagley

Odwet

Przekład: Jerzy Żebrowski

A R I E B O O K S
W A R S Z A W A 2 0 2 1

Spis treści

Prolog	7	Lawina	162
Przesłuchanie	17	XXIV	162
I	17	Przesłuchanie	199
II	24	XXV	199
III	29	XXVI	204
IV	38	XXVII	206
V	46	Przesłuchanie	213
VI	49	XXVIII	213
Przesłuchanie	55	XXIX	220
VII	55	XXX	224
VIII	62	Przesłuchanie	230
IX	71	XXXI	230
X	76	XXXII	234
Przesłuchanie	79	XXXIII	241
XI	79		
XII	88		
XIII	94		
XIV	101		
XV	103		
XVI	113		
XVII	120		
Przesłuchanie	127		
XVIII	127		
XIX	130		
XX	138		
XXI	144		
XXII	151		
XXIII	155		

1

Leżała na łóżku w niedbalej pozie, nieświadoma już obecności rosnących mężczyźni wypełniających pokój, którzy sprawiali, że wydawał się on jeszcze mniejszy niż był w rzeczywistości. Uleciało z niej życie, a słusznego wzrostu panowie przyjechali stwierdzić, dlaczego tak się stało – nie z ciekawości, lecz z przyczyn zawodowych: byli policjantami.

Detektyw inspektor Stephens nie zwracał uwagi na ciało. Rzucił na nie tylko okiem, a potem zainteresował się pokojem, zauważając tanie, zdezelowane meble i wytarty dywan, który był zbyt mały, aby ukryć zakurzone deski. Brakowało szafy, a rzeczy dziewczyny leżały bezładnie porozrzucane, niektóre na oparciu krzesła, inne na podłodze obok łóżka. Ona sama była naga jak opustoszała muszla. Martwe ciało nie budziło pożądania.

Stephens wziął z krzesła sweter i zauważył ze zdziwieniem, jak bardzo jest miękki. Spojrzawszy na metkę z nazwą firmy zmarszczył brwi, a potem podał go sierżantowi Ipsleyowi.

– Było ją stać na dobre rzeczy. Co z ustaleniem tożsamości?

– Betts rozmawia z właścicielką domu.

Stephens wiedział, ile to warte. Mieszkańcy jego rewiru niechętnie rozmawiali z policją.

– Niewiele mu to da. Dostanie tylko jakieś nazwisko i to zapewne fałszywe. Widział pan strzykawkę?

– Trudno było nie zauważyć, sir. Myśli pan, że to narkotyki?

– Możliwe. – Stephens odwrócił się w stronę komody z jasnego surowego drewna i pociągnął za jedną z gałek. Szuflada otworzyła się na szerokość cala, a potem zacięła się. Uderzył w nią kantem dłoni. – Czy zjawił się już policyjny lekarz?

– Pójdę się dowiedzieć, sir.

– Nie ma problemu. Przyjdzie we właściwym czasie. – Stephens odwrócił głowę w stronę łóżka. – Poza tym jej się tak bardzo nie śpieszy. – Szarpnął szufladę, która znów się zacięła. – Co za cholera?!

Umundurowany policjant pojawił się w drzwiach, zamykając je za sobą.

– Nazywała się Hellier, sir. June Hellier. Mieszkała tu od tygodnia. Przyjechała w zeszłą środę.

Stephens wyprostował się.

– To niewiele nam daje, Betts. Widział pan ją już kiedyś na swoim terenie?

Betts spojrział w stronę łóżka i pokręcił głową.

– Nie, sir.

– Czy właścicielka domu знаła ją wcześniej?
– Nie, sir. Przyszła z ulicy i poprosiła o pokój. Zapłaciła z góry.
– Inaczej by go nie dostała – stwierdził Ipsley. – Znam tę starą jędzę – nic za darmo, a za sześć pensów niewiele.

– Czy miała jakichś przyjaciół, znajomych? – zapytał Stephens. – Rozmawiała z kimś?

– Nic mi o tym nie wiadomo, sir. Wygląda na to, że większość czasu spędzała w pokoju.

Niski mężczyzna z zaokrąglonym brzuszkiem wcisnął się między nich. Podszedł do łóżka i położył torbę.

– Przepraszam za spóźnienie, Joe. Te cholerne korki są coraz gorsze.

– W porządku, doktorze. – Stephens zwrócił się ponownie do Bettsa: – Niech pan tu jeszcze powęszy i spróbuje się czegoś dowiedzieć. – Podszedł do doktora, stojącego w nogach łóżka i spojrzał z góry na ciało dziewczyny. – Chodzi, jak zwykle, o czas i przyczynę zgonu.

Doktor Pomray zmierzył go wzrokiem.

– Podejrzewa pan coś?

Stephens wzruszył ramionami.

– Na razie nic nie wiem. – Wskazał na strzykawkę i szklankę, które leżały na nocnej szafce z bambusa. – To mogły być narkotyki. Może przedawkowała.

Pomray pochylił się nad szklanką i ostrożnie ją powąchał. Na dnie widać było cieniutką warstwę wilgoci. Już miał jej dotknąć, gdy Stephens powiedział:

– Proszę tego nie robić, doktorze. Chciałbym, żeby najpierw sprawdzono odciski.

– To nie ma większego znaczenia – odparł Pomray. – Jasne, że była narkomanką. Niech pan spojrzy na jej uda. Chciałem tylko sprawdzić, czym się truła.

Stephens zauważył już wcześniej ślady ukłuc i wyciągnął własne wnioski, stwierdził jednak: – Może miała cukrzycę?

Pomray zdecydowanie pokręcił głową.

– Są ślady zakrzepu żylnego i zakażenia skóry. Żaden lekarz nie dopuściłby do tego u pacjenta z cukrzycą. – Pochylił się i ucisnął jej skórę. – Są też początki żółtaczk. Oznacza to uszkodzenia wątroby. Powiedziałbym, że to narkomania i typowa beztroska w obchodzeniu się z igłą. Ale dopiero po sekcji będziemy mieć pewność.

– W porządku, zostawiam to panu. – Stephens odwrócił się do Ipsleya i powiedział jakby od niechcenia: – Może pan otworzyć tę szufladę, sierżancie?

– Jeszcze jedno – dorzucił Pomray. – Przy swoim wzroście ma sporą niedowagę. To kolejny dowód. – Wskazał na popielniczkę zasypaną niedopałkami papierosów. – I bardzo dużo paliła.

Stephens zobaczył, jak Ipsley delikatnie ująwszy kciukiem i wskazującym palcem gałkę komody, bez trudu otwiera szufladę. Odwrócił wzrok od jego twarzy, na której malował się wyraz triumfu i stwierdził:

– Ja też dużo palę, doktorze. To niewiele oznacza.

– Pasuje do klinicznego obrazu – przekonywał Pomray.

Stephens skinął głową. – Chciałbym wiedzieć, czy zmarła na tym łóżku. Pomray wydawał się zaskoczony.

– Ma pan powody przypuszczać, że było inaczej?

Stephens lekko się uśmiechnął.

– Bynajmniej. Po prostu jestem ostrożny.

– Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć – stwierdził Pomray.

W szufladzie znaleźli niewiele: torebkę, trzy pończochy, parę wymagających uprania majtek, pęk kluczy, szminkę, pas do pończoch i strzykawkę ze złamaną igłą. Stephens odkręcił szminkę i zajrzał do środka. Była zupełnie zużyta, a ślady wskazywały na to, że dziewczyna próbowała wykorzystać ją do końca, co potwierdziło odnalezienie w szczelinie szuflady starej zapalki z zabarwionym na czerwono końcem. Stephens specjalizujący się w interpretowaniu takich szczegółów, wywnioskował, że June Hellier była w finansowych tarapatkach.

Majtki miały z przodu dwie czerwonobrazowe plamy. W podobny sposób zaplamiona była górna część jednej z pończoch. Wyglądało to na zaschniętą krew i było zapewne efektem zrobionego nieumiejętnie zastrzyku w udo. Na metalowym kółku znajdowały się trzy klucze, w tym jeden od stacyjki samochodu. Stephens zwrócił się do Ipsleya:

– Niech pan pójdzie sprawdzić, czy dziewczyna miała samochód.

Drugi klucz pasował do luksusowej i wytwornej walizki, którą znalazł w kącie; zajrzał do środka – była pusta. Stephens chciał kiedyś kupić podobną w prezencie dla żony, ale zrezygnował z powodu ceny.

Trzeciego klucza nie potrafił do niczego dopasować, zajął się więc torebką, zrobioną z miękkiej skóry. Zamierzał ją właśnie otworzyć, gdy wrócił Ipsley.

– Nie ma samochodu, sir.

– Doprawdy? – Stephens zacisnął wargi. Otworzył zatrask torebki i – zajrzał do jej wnętrza. Papiery, bibułki, jeszcze jedna doszczętnie zużyta szminka, trzy szylingi i cztery pensy, żadnych banknotów.

– Proszę uważnie posłuchać, sierżancie – powiedział. – Przyzwoita torebka, przyzwoita walizka, kluczyki do stacyjki, ale bez wozu, przyzwoite

ciuchy, z wyjątkiem pończoch, które są tanie, w szufladzie szminka w złotej oprawie, w torebce szminka od Woolwortha – obie zużyte. Co pan o tym wszystkim myśli?

– Musiała zbiednieć, sir.

Stephens skinął głową, trącając wskazującym palcem kilka monet. Nagle zapytał:

– Może mi pan powiedzieć, doktorze, czy ona była dziewczicą?

– Nie była, już to sprawdziłem – odparł Pomray.

– Może żyła na kredyt – podsunął Ipsley.

– Możliwe – stwierdził Stephens. – Dowiemy się, jeśli będzie trzeba.

Pomray wyprostował się.

– Na pewno zmarła na tym łóżku. Są na to dowody. Więcej nic tu nie zdziałam. Można gdzieś umyć ręce?

– Na końcu korytarza jest łazienka – odparł Ipsley. – Ale niezbyt tam czysto.

Stephens porządkował niewielki plik papierów.

– Jaki był powód zgonu, doktorze?

– Powiedziałbym, że przedawkowanie narkotyku, ale dopiero sekcja wykaże, co to było.

– Przypadkowe czy celowe? – zapytał Stephens.

– Z tym też trzeba poczekać do sekcji – odparł Pomray. – Jeżeli przedawkowanie było naprawdę spore, można właściwie mieć pewność, że to nie przypadek. Narkoman z reguły wie dokładnie, ile ma wziąć. Jeśli przedawkowała tylko trochę, mogło się to stać przypadkowo.

– A więc jeżeli to nie przypadek, mamy do wyboru samobójstwo albo morderstwo – stwierdził z zadumą Stephens.

– Myślę, że morderstwo może pan śmiało wykluczyć – stwierdził Pomray. – Narkomani nie lubią, żeby inni wbijali im igły. – Wzruszył ramionami. – Ale wskaźnik samobójstw jest wysoki wśród tych, którzy są już na dnie.

Stephens mruknął cicho, natrafiając na wizytówkę jakiegoś lekarza. Jego nazwisko wydało mu się dziwnie znajome.

– Co pan wie o doktorze Nicholasie Warrenie? Czy to specjalista od narkotyków?

Pomray przytaknął.

– A więc była jedną z jego dziewczyn, tak? – zapytał z zainteresowaniem. – Co to za lekarz? Ma czyste ręce?

Pomray zareagował gwałtownie.

– Mój Boże! Nick Warren ma nieskazitelną opinię. To jeden z najlepszych fachowców w branży. Nie jest żadnym szarlatanem, jeśli o to panu chodzi.

– Z różnymi ma się do czynienia – powiedział pojednawczo Stephens.
– Sam pan to dobrze wie. – Podał wizytówkę Ipsleyowi. – To niedaleko stąd. Niech pan spróbuje go odnaleźć, sierżancie. Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze tej dziewczyny.

– Tak jest, sir – powiedział Ipsley i ruszył do drzwi.

– Aha, sierżancie – zawołał Stephens. – Proszę mu nie mówić, że dziewczyna nie żyje.

Ipsley szeroko się uśmiechnął.

– Nie powiem.

– Proszę posłuchać – odezwał się Pomray. – Jeżeli spróbuje pan przyciskać Warrena, czeka pana spora niespodzianka. To twardy facet.

– Nie lubię lekarzy, którzy rozdają narkotyki – odparł ponuro Stephens.

– Cholernie dobrze pan wie, jak to jest – burknął Pomray. – A lekarskiej etyce Nicka Warrena nie zdoła pan niczego zarzucić. Jeżeli zastosuje pan taką taktykę, da panu nieźle popalić.

– Zobaczymy. Radziłem już sobie z twardzielami.

Pomray wyszczerzył nagle zęby w uśmiechu.

– Chyba zostanę i popatrzę sobie. Warren wie o narkotykach i narkomanach tyle samo, co najlepszy specjalista w tym kraju, a może i więcej. Ma na tym punkcie lekkiego bzika. Nie przypuszczam, żeby wiele pan z niego wyciągnął. Wróć, jak tylko domyję się w tej zafajdanej łazience.

Stephens spotkał się z Warrenem w ciemnym korytarzu przy wejściu do pokoju dziewczyny. Chciał wykorzystać psychologiczną przewagę, którą uzyskał nie informując doktora o śmierci dziewczyny. Jeżeli zdziwiło go, że Warren przyjechał tak szybko, nie okazał tego, lecz obserwował idącego po korytarzu mężczyznę z zawodową rezerwą.

Warren był człowiekiem wysokim, o delikatnej, ale dziwnie nieruchomej twarzy. Mówił zawsze z namysłem, robiąc nieraz długie przerwy, zanim udzielił odpowiedzi. Stephens odnosił wrażenie, że Warren go nie słyszy albo nie zwraca uwagi na zadawane pytanie, ale w chwili gdy zamierzał je powtórzyć, Warren zawsze odpowiadał. Ta powściągliwość drażniła Stephensa, chociaż starał się tego nie okazywać.

– Cieszę się, że pan przyjechał – powiedział. – Mamy pewien problem, doktorze. Zna pan młodą damę o nazwisku June Hellier?

– Znam – odparł lakonicznie Warren.

Stephens czekał z nadzieją, że Warren powie coś więcej, ale ten tylko mu się przyglądał. Tłumiąc irytację zapytał:

– Czy to jedna z pańskich pacjentek?

– Tak – odparł Warren.

– Na co chorowała, doktorze?

Warren odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

– To sprawa między pacjentem a lekarzem i nie chcę o tym rozmawiać.

Stephens poczuł, jak Pomray porusza się niespokojnie za jego plecami. Odezwał się chłodno:

– To sprawa dla policji, doktorze.

Warren znowu zamilkł, patrząc spokojnie na Stephensa. W końcu powiedział:

– Wydaje mi się, że jeżeli panna Hellier potrzebuje pomocy lekarskiej, tracimy czas stojąc tutaj.

– Nie będzie potrzebowała pomocy – rzekł obojętnie Stephens.

Pomray znów się poruszył.

– Ona nie żyje, Nick.

– Rozumiem – odparł Warren. Wydawał się nieporuszony. Stephens był zły, że Pomray wtrącił się do rozmowy, ale bardziej zainteresował go brak reakcji ze strony Warrena.

– Nie jest pan zaskoczony, doktorze.

– Nie – odparł krótko Warren.

– Dostarczał pan jej narkotyki?

– Dawałem jej recepty. To było kiedyś.

– Na jakie narkotyki?

– Na heroinę.

– Czy to było konieczne?

Warren był nieporuszony jak zawsze, ale w jego oczach pojawił się wyraz niechęci, gdy powiedział:

– Nie mam zamiaru rozmawiać z osobą postronną na temat kuracji moich pacjentów.

Stephensa ogarnął gniew.

– Ale jej śmierć pana nie zaskoczyła. Czy była umierająca? Śmiertelnie chora?

Warren spojrział na Stephensa z namysłem i powiedział:

– Współczynnik śmiertelności wśród narkomanów jest jakieś dwadzieścia osiem razy wyższy niż wśród ogółu ludności. Oto dlaczego jej śmierć mnie nie dziwi.

– Brała heroinę?

– Tak.

– A pan ją zaopatrywał?

– Tak.

– Rozumiem – podsumował Stephens. Spojrzał na Pomraya, a potem zwrócił się ponownie do Warrena: – Nie powiem, żeby mi się to podobało.

– Mało mnie obchodzi pańskie zdanie – stwierdził spokojnie Warren. – Chciałbym zobaczyć moją pacjentkę. Będzie panu potrzebne świadectwo zgonu. Lepiej, żebym ja je wystawił.

Co za cholerny tupet – pomyślał Stephens. Odwrócił się gwałtownie i otworzył drzwi do sypialni.

– Proszę tędy – powiedział szorstko.

Warren minął go i wszedł do pokoju, a za nim podążył Pomray. Stephens zdecydowanym ruchem głowy nakazał sierżantowi Ipsleyowi, żeby wyszedł, po czym zamknął drzwi za jego plecami. Kiedy zbliżył się do łóżka, Warren i Pomray byli już zajęci rozmową, z której rozumiał co czwarte słowo.

Prześcieradło, którym doktor Pomray przykrył ciało dziewczyny, zostało odsunięte i widać było znów nagą June Hellier. Stephens wtrącił się do rozmowy:

– Doktorze Warren, kiedy zasugerowałem, że te ślady ukłuć mogą świadczyć o cukrzycy, doktor Pomray powiedział, że dziewczyna miała zakażenie i że żaden lekarz nie dopuściłby do tego u swojego pacjenta. Ona była pańską pacjentką. Jak pan to wyjaśni?

Warren spojrzał na Pomraya i kąciki ust zadrgały mu lekko, jakby się uśmiechał.

– Nie muszę niczego wyjaśniać – odparł. – Ale zrobię to. Lek przeciw cukrzycy wstrzykuje się w zupełnie odmiennych warunkach niż heroinę. Dzieje się to w innej atmosferze, a częsty pośpiech może powodować zakażenia.

Zwracając się do Pomraya, dorzucił:

– Nauczyłem ją posługiwać się igłą, ale, jak wiesz, oni nie przejmują się szczególnie higieną.

Stephens był oburzony. – Nauczył ją pan posługiwać się igłą?! Boże, dziwne ma pan pojęcie o etyce lekarskiej!

Warren spojrzał na niego beznamiętnie i powiedział z niezwykłym opóźnieniem:

– Panie inspektorze, jeśli wątpi pan w moją etykę, proszę to zakomunikować stosownym władzom. Chętnie służę adresem, gdyby pan nie wiedział, gdzie się udać. – Odwrócił się od Stephensa w niemal obraźliwy sposób i rzekł do Pomraya:

– Podpiszę świadectwo zgonu razem z patologiem. Tak będzie lepiej.

– Tak. Może tak będzie lepiej – stwierdził z namysłem Pomray.

Warren podszedł do wezglowia łóżka i stał tam przez chwilę, przyglądając się zmarłej dziewczynie. Potem bardzo powoli nasunął prześcieradło na martwe ciało. W tym powolnym ruchu było coś, co zaintrygowało Stephensa. Wyglądało to na gest... czułości.

Zaczekał, aż Warren podniesie wzrok, po czym zapytał:

– Wie pan coś na temat jej rodziny?

– Właściwie nic. Narkomani nie lubią, kiedy się ich wypytuje – więc nie pytam.

– Wiadomo coś o jej ojcu?

– Tylko tyle, że go miała. Wspominała o nim parę razy.

– Kiedy przyszła do pana po narkotyki?

– Zgłosiła się do mnie na leczenie jakieś półtora roku temu. Na leczenie, inspektorze.

– Oczywiście – odparł ironicznie Stephens, wyjmując z kieszeni złożoną kartkę papieru. – Może zechce pan na to spojrzeć. Warren wziął kartkę i rozłożył ją, zauważając, że jest zmięta. – Skąd pan to ma?

– Z jej torebki.

Był to list napisany na maszynie efektowną czcionką, na dobrej jakości papierze z wytłoczonym nagłówkiem: REGENT FILMS COMPANY i adresem z Wardour Street. Nosił datę sprzed sześciu miesięcy i zawierał taką oto treść:

Droga panno Hellier

Piszę z polecenia pani ojca, aby zawiadomić, że nie może się z panią spotkać w przyszły piątek, ponieważ tego samego popołudnia wyjeżdża do Ameryki. Nie będzie go zapewne przez jakiś czas. Nie potrafię w tej chwili określić, jak długo.

Zapewnia panią, że napisze, gdy tylko załatwi najpilniejsze sprawy i ma nadzieję, że swoją nieobecnością nie sprawia pani nadmiernej przykrości.

Z poważaniem,

D. L. Waiden

– To wiele wyjaśnia – powiedział cicho Warren, podnosząc wzrok. – Czy napisał?

– Nie wiem – odparł Stephens. – Tu niczego nie ma.

Warren postukał palcem w list.

– Nie przypuszczam. Skoro June zachowała taki niewiele znaczący list, tym bardziej nie zniszczyłaby tamtego. – Spojrzał na okryte prześcieradłem ciało. – Biedna dziewczyna.

– Niech pan lepiej pomyśli o sobie, doktorze – powiedział uszczypliwie Stephens. – Proszę spojrzeć na skład zarządu w nagłówek tego listu.

Warren rzucił okiem: „Sir Robert Hellier, prezes”. Z grymasem na twarzy podał kartkę Pomrayowi.

– Mój Boże! – powiedział Pomray. – To ten Hellier!

– Tak, ten Hellier – potwierdził Stephens. – Myślę, że będzie z tego śmierdząca sprawa. Prawda, doktorze Warren? – Powiedział to z nie ukrywaną satysfakcją, obrzucając Warrena pełnym niechęci spojrzeniem.

2

Warren siedział przy biurku w swoim gabinecie. Czekać na kolejnego pacjenta wykorzystywał cenne minuty, aby nadrobić zaległości w papierkowej robocie, do której zmuszał go system ubezpieczeń. Jak każdy lekarz nie cierpiał biurokracji w medycynie, poczuł więc dziwną ulgę, gdy pracę przerwał mu telefon. Uczucie to wkrótce go jednak opuściło, kiedy usłyszał słowa telefonistki:

– Panie doktorze, chce z panem rozmawiać sir Robert Hellier.

Warren westchnął. Spodziewał się tego telefonu.

– Połącz go, Mary.

Usłyszał trzask i w słuchawce pojawił się nowy sygnał.

– Mówi Hellier.

– Tu Nicholas Warren.

Nawet brzęczenie na linii nie zdołało zagłuszyć rozkazującego tonu w głosie Helliera.

– Chcę się z panem zobaczyć, Warren.

– Spodziewałem się tego.

– Będę dziś w biurze o wpół do trzeciej po południu. Wie pan, gdzie to jest?

– To zupełnie niemożliwe – odparł zdecydowanie Warren. – Jestem bardzo zajęty. Proponuję panu spotkanie w moim gabinecie.

Zaległa pełna niedowierzania cisza, a potem głos w słuchawce wykrztusił:

– Niech pan posłucha...

– Przykro mi, sir – przerwał mu Warren. – Proponuję, żeby przyszedł pan do mnie dziś o piątej. Powinienem być wtedy wolny.

Hellier podjął decyzję:

– Dobrze – odparł opryskliwie. Warren skrzywił się na odgłos rzuconej na widelki słuchawki. Odłożył delikatnie swój jednocześniey telefon i włączył interkom.

– Mary, o piątej przychodzi do mnie sir Robert Hellier. Może będzie trzeba poprzestawiać parę spotkań. Spodziewam się długiej wizyty, więc musi być ostatnim pacjentem.

– W porządku, panie doktorze.

– Aha, Mary. Gdy tylko przyjdzie Hellier, jesteś wolna.

– Dziękuję panu.

Warren zwolnił przycisk i w zamyśleniu patrzył w przestrzeń, ale po krótkiej chwili wrócił do swojej papierkowej roboty.

Sir Robert Hellier był dobrze zbudowanym mężczyzną, a nosił się tak, by robić wrażenie jeszcze potężniejszego. Subtelny garnitur z Savile Row nie łagodził ciężkości jego ruchów, zaś głos świadczył tym, że nie jest przyzwyczajony do znoszenia sprzeciwu. Zaledwie wszedł do pokoju Warrena, powiedział krótko i bez wstępów:

– Wie pan, dlaczego tu jestem.

– Tak. Przyszedł pan w sprawie córki. Może zechce pan usiąść?

Hellier zajął krzesło po drugiej stronie biurka.

– Przejdę do rzeczy. Moja córka nie żyje. Policja przekazała mi informację, w którą nie mogę uwierzyć. Mówią, że była narkomanką. Brała heroinę.

– To prawda.

– Heroinę, którą pan jej dostarczał.

– Heroinę, którą jej zapisywałem – poprawił Warren. Hellier był przez chwilę zbity z tropu.

– Nie oczekiwałem, że tak łatwo pan to potwierdzi.

– Dlaczego nie? – odparł Warren. – Leczyłem pańską córkę.

– Ależ z pana tupeciarz! – wybuchnął Hellier. Pochylił się do przodu, a jego potężne ramiona zgarbiły się pod marynarką. – To hańba, żeby lekarz przepisywał silne narkotyki młodej dziewczynie.

– Moim zdaniem...

– Wsadzę pana do więzienia! – ryknął Hellier.

– ...ona niezbędnie potrzebowała tych recept.

– Jest pan zwykłym handlarzem narkotyków!

Warren wstał, a jego lodowaty głos przerwał tyradę Helliera:

– Jeżeli powtórzy pan to zdanie poza tym gabinetem, oskarżę pana o zniesławienie. Skoro nie chce pan posłuchać, co mam do powiedzenia,

proszę stąd wyjść, bo dalsza rozmowa z panem nie ma sensu. A jeżeli nie podoba się panu moja etyka, może pan pójść na skargę do Komisji Dyscyplinarnej przy Izbie Lekarskiej.

Hellier ze zdumieniem podniósł wzrok.

– Chce pan przez to powiedzieć, że Izba Lekarska usprawiedliwiłaby takie postępowanie?

– Właśnie – odparł Warren z przekąsem i ponownie usiadł. – Brytyjski rząd także. Wydali w tej sprawie ustawę.

Hellier wydawał się zupełnie zbity z tropu.

– No dobrze – powiedział niepewnie. – Zapewne powinienem posłuchać, co ma pan mi do zakomunikowania. Po to tu przyszedłem.

Warren przypatrywał mu się badawczo.

– June zjawiła się u mnie jakieś osiemnaście miesięcy temu. Brała już wtedy heroinę prawie od dwóch lat.

Hellier znowu wybuchnął.

– To niemożliwe!

– Niby dlaczego?

– Wiedziałbym o tym.

– W jaki sposób?

– No cóż, rozpoznałbym... objawy.

– Rozumiem. A jakie są te objawy?

Hellier zaczął mówić, potem opanował się i zamilkł.

– Wie pan – odezwał się Warren – narkomana, który bierze heroinę, nie poznaje się po drżeniu rąk. Objawy są o wiele trudniejsze do uchwycenia, a narkomani umiejętnie je ukrywają. Mógł pan jednak coś zauważyć. Proszę mi powiedzieć, czy wyglądało wtedy na to, że córka ma kłopoty finansowe?

Hellier przypatrywał się swoim dłoniom.

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ich nie miała – odparł zagrożony w myślach. – Zaczynało mnie to już męczyć i w końcu ostro się sprzeciwiłem. Powiedziałem jej, że nie została wychowana na rozrzutną próżniaczkę. – Podniósł wzrok. – Znalazłem jej pracę, załatwiłem mieszkanie i zmniejszyłem o połowę kieszonkowe.

– Rozumiem – powiedział Warren. – Jak długo miała tę pracę?

Hellier pokręcił głową.

– Nie wiem. Wiem tylko, że ją straciła. – Zaciśnął dłonie na krawędzi biurka, aż zbieleły mu kostki palców. – Wie pan, ona mnie okradła. Okradła własnego ojca.

– Jak to się stało? – zapytał ostrożnie Warren.

– Mam wiejski dom w Berkshire – odparł Hellier. – Pojechała na wieś i splądrowała go – dosłownie splądrowała. Było tam, między innymi, sporo georgiańskich sreber. Miała czelność zostawić kartkę z informacją, że to zrobiła. Podała mi nawet nazwisko kupca, któremu sprzedawała towar. Odzyskałem wszystko, ale kosztowało mnie to cholernie dużo pieniędzy.

– Podał ją pan do sądu?

– Niech pan nie będzie głupcem – odparł ostro Hellier. – Muszę dbać o reputację. Ładnie wypadłbym w gazetach, oskarżając o kradzież własną córkę. I tak mam już dość problemów z prasą.

– Może byłoby dla niej lepiej, gdyby ją pan zaskarżył – stwierdził Warren. – Nie zadał pan sobie pytania, dlaczego pana okradła?

Hellier westchnął.

– Myślałem, że zesłała zupełnie na złą drogę, że odziedziczyła to po matce. – Wyprostował ramiona. – Ale to osobna historia.

– Oczywiście – odparł Warren. – Więc jak mówię, kiedy June zgłosiła się do mnie na leczenie, a właściwie po heroinę, była już prawie od dwóch lat narkomanką. Tak powiedziała i stan jej organizmu to potwierdzał.

– Co pan ma na myśli – zapytał Hellier – że zgłosiła się po heroinę, a nie na leczenie?

– Narkoman traktuje lekarza jako źródło zaopatrzenia – odparł Warren nieco znużonym głosem. – Narkomani nie chcą być leczeni. Boją się tego.

Hellier patrzył na Warrena tępym wzrokiem.

– Ależ to potworne. Dawał jej pan heroinę?

– Tak.

– I nie leczył jej pan?

– Nie od razu. Nie można leczyć pacjenta, który tego nie chce, a angielskie prawo nie pozwala na stosowanie przymusu.

– Ale przez pana uzależniła się jeszcze bardziej. Pan dostarczał jej heroinę.

– Wolałby pan, żebym tego nie robił? Miałem jej pozwolić wyjść na ulicę, żeby zdobywała heroinę z nielegalnego źródła, po czarnorynkowej cenie i zanieczyszczoną Bóg wie jakim świństwem? Narkotyki, które przepisywałem, były przynajmniej czyste i odpowiadały normom brytyjskiej farmakopei, co zmniejszało prawdopodobieństwo zapalenia wątroby.

Hellier jakby się skurczył.

– Nie rozumiem – wymamrotał, kręcąc głową. – Po prostu nie rozumiem.

– Istotnie – przyznał Warren. – Zastanawia się pan, co się stało z lekarską etyką. Później o tym pomówimy. – Złączył dłonie czubkami palców. – Po miesiącu zdołałem przekonać June, że powinna się leczyć. Istnieją kliniki zajmujące się takimi przypadkami. Była w szpitalu przez dwadzie-

ścia siedem dni. – Mierzył Helliera surowym spojrzeniem. – Wątpię, czy na jej miejscu wytrzymałbym tydzień. June była dzielną dziewczyną, sir Robercie.

– Nie bardzo wiem, jak wygląda... hm... takie leczenie.

Warren otworzył szufladę biurka i wyjął pudełko papierosów. Wyciągnął jednego, a potem, najwyraźniej zreflektowawszy się, pchnął otwarte pudełko na drugą stronę biurka.

– Przepraszam, pali pan?

– Dziękuję – odparł Hellier i sięgnął po papierosa. Warren nachylił się i posłużył mu swoją zapalniczką, po czym sam z niej skorzystał.

Przyglądał się Hellierowi przez chwilę, a następnie podniósł do góry papierosa.

– Wie pan, to także narkotyk, ale nikotyna nie jest szczególnie silna. Powoduje psychiczne uzależnienie. Każdy, kto ma wystarczająco silną wolę, może rzucić palenie. – Pochylił się do przodu. – Heroina to co innego. Uzależnia w sposób fizjologiczny. Potrzebuje jej organizm i rozum ma tu niewiele do powiedzenia.

Ponownie odchylił się do tyłu.

– Kiedy pozbawi się narkomana heroiny, obserwowane u niego fizjologiczne objawy mają takie nasilenie, że szansę przeżycia są jak jeden do pięciu. Lekarz musi się nad tym dobrze zastanowić, zanim rozpocznie kurację.

Hellier pobladł.

– Czy ona cierpiała?

– Owszem – odparł chłodno Warren. – Bardzo chciałbym móc powiedzieć, że nie, ale byłoby to kłamstwo. Oni wszyscy cierpią. Cierpią tak bardzo, że może jednemu na stu udaje się przejść kurację. June wytrzymała ile potrafiła, a potem wyszła. Nie mogłem jej zatrzymać – prawo tego nie przewiduje.

Papieros w dłoni Helliera wyraźnie drżał. Warren stwierdził:

– Potem dość długo jej nie widziałem. Wróciła pół roku temu. Oni zwykle wracają. Chciała dostać heroinę, ale nie mogłem dać jej recepty. Zmieniło się prawo. Wszystkim narkomanom przepisuje się teraz narkotyki w specjalnych klinikach, które zorganizował rząd. Doradzałem jej leczenie, ale nie chciała o tym słyszeć, zabrałem ją więc do szpitala. Ponieważ znałem jej przypadek – i ponieważ obchodził mnie jej los – mogłem pełnić rolę konsultanta. Dostawała recepty na heroinę – najmniejsze możliwe dawki.

– A jednak zmarła z przedawkowania.

– Nie – zaoponował Warren. – Śmierć spowodowała dawka heroiny rozpuszczonej w roztworze metyloamfetaminy, a to już zbyt ostra mie-

szanka. Nie miała zapisanej amfetaminy – musiała zdobyć ją gdzie indziej.

Hellier cały się trząsł.

– Podchodzi pan do tego bardzo spokojnie, Warren – powiedział niepewnym głosem. – Jest pan cholernie opanowany. Na mój gust – aż do przesady.

– Muszę być opanowany – stwierdził Warren. – Lekarz, który zanadto się przejmuję, szkodzi sobie i swoim pacjentom.

– Cóż za piękna, pozbawiona emocji postawa profesjonalisty – sztychł Hellier. – Ale to zabiło moją córkę. – Podsunął Warrenowi pod nos drżący palec. – Dobiorę się panu do skóry, Warren. Mam wpływy. Zniszczę pana.

Warren obdarzył Helliera niechętnym spojrzeniem.

– Nie mam zwyczaju w takich sytuacjach pognebiać zbolełych rodziców – powiedział dobitnie – ale sam pan się tego dopomina. Proszę mnie nie prowokować.

– Prowokować! – Uśmiech Helliera pozbawiony był wesołości. – Ja pana pogrzebię.

Warren wstał.

– W porządku. Proszę mi więc powiedzieć, czy ma pan zwyczaj kontaktować się z dziećmi przez osoby trzecie, zlecając sekretarce pisanie do nich listów?

– O co panu chodzi?

– Pół roku temu, tuż przed pańskim wyjazdem do Ameryki, June chciała się z panem zobaczyć. A pan, na Boga, zbył ją urzędowym listem, który napisała pańska sekretarka!

– Byłem wtedy bardzo zajęty. Miałem na głowie dużą transakcję.

– Potrzebowała pańskiej pomocy. Nie uzyskała jej, więc zjawiła się u mnie. Obiecał pan napisać z Ameryki. I co?

– Byłem zajęty – odparł Hellier cicho. – Miałem napięty program: mnóstwo podróży, konferencji...

– A więc pan nie napisał. Kiedy pan wrócił?

– Przed dwoma tygodniami.

– Po prawie sześciu miesiącach. Czy wiedział pan, gdzie przebywa pańska córka? Czy próbował pan się tego dowiedzieć? Wtedy jeszcze żyła, proszę pana.

– Wielki Boże, musiałem uporządkować tutaj różne sprawy. Kiedy mnie nie było, wszystko zaczęło się walić!

– Istotnie – przyznał Warren lodowatym tonem. – Mówi pan, że znalazł pan June pracę i załatwił jej mieszkanie. W tej wersji nawet ładnie to brzmi, ale ja powiedziałbym, że pan ją wyrzucił. Czy parę lat wcześniej próbował pan dociec, dlaczego się zmieniła? Dlaczego potrzebowała co-

raz więcej pieniędzy? Prawdę mówiąc, chciałbym wiedzieć, jak często widywał pan córkę. Czy kontrolował pan jej postępowanie? Czy sprawdzał pan, w jakim towarzystwie się obraca? Czy wywiązywał się pan z roli ojca?

Hellier był szary na twarzy.

– O Boże!

Warren usiadł i powiedział cicho:

– Teraz naprawdę sprawię panu ból, panie Hellier. Córka nie znosiła pańskiego żelaznego charakteru. Sama mi to powiedziała, choć nie miałem pojęcia, kim pan jest. Zachowała na pamiątkę ten cholernie protekcyjny w tonie list od pańskiej sekretarki, żeby podsycać jej nienawiść – i trafiła w końcu do nędznego pensjonatu w Notting Hill, mając w kieszeni trzy szylingi i cztery pensy. Gdyby pół roku temu zechciał pan poświęcić córce kwadrans swojego bezcennego czasu, nie byłaby teraz martwa.

Pochylił się nad biurkiem i powiedział chrapliwym głosem:

– Niech mi pan teraz powie, panie Hellier, kto odpowiada za śmierć pańskiej córki?

Twarz Helliera wyrażała głębokie przygnębienie. Warren oparłszy się z powrotem o krzesło, przyglądał mu się niemal ze współczuciem. Wstydział się, że w tak niegodny profesjonalisty sposób dał się ponieść emocjom. Widząc, że Hellier sięga po chusteczkę, wstał i podszedłszy do kredensu sięgnął po buteleczkę, z której wysypał dwie tabletki.

Potem wrócił do biurka i rzekł:

– Proszę je wziąć. To pomoże. – Hellier przyjął tabletki bez protestu, popijając je szklanką wody. Uspokoiwszy się, zaczął mówić cichym rwącym się głosem:

– Helen... to znaczy moja żona... matka June... moja była żona... wie pan, rozwiódłem się z nią. June miała wtedy piętnaście lat. Helen była złą kobietą, bardzo złą. Zadawała się z innymi mężczyznami... Miałem już tego dość. Robiła ze mnie głupca. June została ze mną, z własnej woli. Bóg świadkiem, że Helen nie chciała jej mieć przy sobie.

Z trudem zaczerpnął powietrza.

– Oczywiście, June chodziła wtedy jeszcze do szkoły. A ja miałem swoją pracę, moją firmę, która stawała się coraz większa i nawiązywała coraz więcej kontaktów. Nie ma pan pojęcia, jakie to może przybrać rozmiary i jak staje się skomplikowane. Rozumie pan, działalność na międzynarodową skalę. Dużo podróżowałem. – Zamyślił się nad przeszłością. – Nie zdawałem sobie sprawy...

– Wiem – wtrącił cicho Warren.

Hellier podniósł wzrok. – Wątpię, doktorze. – Zamrugał oczami, napotkawszy opanowane spojrzenie Warrena i ponownie spuścił głowę. –

A może się myłę. Pewnie miał już pan do czynienia z takimi cholernymi głupcami jak ja.

Warren odpowiedział stonowanym głosem, starając się okazać Hellierowi zrozumienie:

– Trudno znaleźć z młodymi wspólny język, nawet jeżeli trzyma się ich przy sobie. Mają jakby inny sposób myślenia, inne ideały.

Hellier westchnął.

– Ale mogłem przynajmniej spróbować. – Zaciśnął mocno dłonie. – Ludzie z mojej sfery myślą na ogół, że zaniedbywanie obowiązków rodzinnych i przestępczość młodzieży to przywilej niższych klas. Wielki Boże!

– Dam panu na dzisiejszą noc jakiś środek nasenny – powiedział zdecydowanie Warren. Hellier pokręcił głową.

– Nie, doktorze, dziękuję. Muszę przełknąć tę gorzką pigułkę. – Podniósł na niego wzrok. – Czy pan wie, jak to się zaczęło? W jaki sposób ona...? Jak mogła...?

Warren wzruszył ramionami.

– Niewiele mi powiedziała. Miała dosyć bieżących problemów. Ale sądzę, że jej przypadek był typowy. Najpierw haszysz – dla zgrywy albo żeby się popisać, potem mocniejsze narkotyki, a w końcu heroina i jeszcze silniejsze odmiany amfetaminy. Zwykle wszystko się zaczyna od nieodpowiedniego towarzystwa.

Hellier pokiwał głową.

– Brak kontroli ze strony rodziców – powiedział z goryczą. – Skąd oni biorą to świństwo?

– W tym tkwi cały problem. Sporo kradzieży w magazynach dokonują przestępcy mający gotowy rynek zbytu. No i oczywiście istnieje przemysł. Tu, w Anglii, gdzie w klinikach przepisuje się heroinę w sposób kontrolowany narkomanom zarejestrowanym w MSW, nie jest tak źle jak w Stanach. Tam, ponieważ jest to całkowicie zabronione, istnieje rozbudowany czarny rynek, co oznacza potężne zyski i zorganizowany nielegalny handel. Ocenia się, że w samym Nowym Jorku jest około czterdziestu tysięcy narkomanów biorących heroinę, gdy w całym Zjednoczonym Królestwie jest ich około dwóch tysięcy. Ale i tak niedobrze się u nas dzieje, bowiem liczba podwaja się co szesnaście miesięcy. A policja nic nie może poradzić na nielegalny handel narkotykami – rzekł Hellier.

– Przypuszczam, że inspektor Stephens wszystko panu o mnie powiedział – odpari ironicznie Warren.

– Całkowicie się mylił – wymamrotał Hellier i poruszył się niespokojnie.

– W porządku, jestem do tego przyzwyczajony. Policja ma do tej sprawy mniej więcej taki sam stosunek jak całe społeczeństwo, ale prześladowanie narkomana, który już wpadł w nałóg, jest bez sensu. Daje to tylko większe zyski handlarzom, bo wygłodniały narkoman musi za wszelką cenę dostać swoją porcję prochów. Wzrasta w ten sposób przestępczość, gdyż jest mu wszystko jedno, skąd zdobędzie pieniądze na narkotyki. – Warren obserwował Helliera, który wyraźnie się uspokajał. Uznał, że ich akademicka dyskusja zadziałała w tym samym stopniu, co środek uspokajający, więc ciągnął dalej:

– Narkomani to ludzie chorzy i policja powinna zostawić ich w spokoju – stwierdził. – My się nimi zajmujemy. Policja powinna likwidować źródła nielegalnego handlu.

– Czy tego nie robi?

– To nie takie proste. Problem ma międzynarodowy charakter. Poza tym trudno jest zdobyć informacje. To nielegalne transakcje i dlatego ludzie nie chcą mówić. – Uśmiechnął się. – Narkomani nie lubią policji, więc policja niewiele z nich wyciąga. Z kolei ja, chociaż nie lubię narkomanów, bo to trudni pacjenci, z którymi większość lekarzy nie chce mieć do czynienia, rozumiem ich i dowiaduję się różnych rzeczy. Mam pewnie więcej informacji o tym, co się dzieje, niż oficjalne źródła policyjne.

– Czemu więc nie powie pan tego policji? – zapytał z naciskiem Hellier. Głos Warrena stał się nagle szorstki.

– Gdyby któryś z moich pacjentów dowiedział się, że nadużyłem jego zaufania i wygadałem się przed policją, straciłbym wszystko. Pacjenci, zwłaszcza gdy chodzi o narkomanów, muszą bezwzględnie ufać lekarzowi, inaczej nie zgłoszą się na leczenie. Jeżeli nie mają dość zaufania – przerzucają się na czarny rynek. Dostają zanieczyszczoną heroinę z doków, po wyśrubowanych cenach, albo aseptyczną od kogoś z moich kolegów, pozbawionego skrupułów i nie stosującego żadnej kuracji. W medycznym świecie mamy parę czarnych owiec. Inspektor Stephens chętnie o tym panu opowie.

Hellier siedział przygarbiony i w zamyśleniu wpatrywał się w biurko.

– Jaka więc jest odpowiedź? Nic pan nie może zrobić?

– Ja? – zdziwił się Warren. – A cóż ja mógłbym zrobić? Źródło dostaw leży poza Anglią, na Bliskim Wschodzie. Nie jestem awanturnikiem z powieści przygodowej, panie Hellier. Jestem lekarzem, który ma swoich pacjentów – i jakoś wiąże koniec z końcem. Nie mogę tak po prostu wyskoczyć do Iranu, żeby przeżyć szaleńczą przygodę.

– Być może miałby pan mniej pacjentów, gdyby był pan wystarczająco szalony – mruknął Hellier, podnosząc się z krzesła. – Przepraszam, dok-

torze Warren, że wchodząc tutaj zachowałem się niestosownie. Wyjaśnił mi pan wiele spraw, których nie rozumiałem. Wytknął mi pan moje błędy. Zapoznał mnie pan ze swoją etyką. Wskazał pan też, jak można by rozwiązać problem, ale nie chce pan do tego przyłożyć ręki. Jakie więc pan popełnia błędy, doktorze Warren i jak to się ma do pańskiej etyki?

Ruszył ciężkim krokiem do drzwi.

– Proszę mnie nie odprowadzać, doktorze. Sam trafię.

Kiedy za Hellierem zamknęły się drzwi, Warren, zaskoczony jego uwagą, nie mógł się pozbierać. Wrócił powoli do stojącego za biurkiem krzesła i usiadł. Zapalił papierosa i przez kilka minut trwał w głębokim zamyśleniu, po czym potrząsnął głową z rozdrażnieniem, jakby chciał odpędzić natrętą muchę.

To absurd! Kompletny absurd! – pomyślał.

Ale ziarno wątpliwości zostało zasiane i nie umiał pozbyć się tej myśli, chociaż bardzo się starał.

Tego wieczoru przeszedł się po Piccadilly i Soho, mijając restauracje, nocne lokale i kluby, ulubione miejsca większości jego pacjentów. Zobaczył kilku z nich. Machali do niego, a on odpowiadał automatycznie tym samym gestem i szedł dalej, prawie nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, aż dotarł na Wardour Street, w sąsiedztwo biur Regent Films Company.

Spojrzał na budynek i powiedział głośno:

– To absurd!

3

Sir Robert Hellier również miał ciężką noc. Wrócił do swego mieszkania w dzielnicy St. James, prawie wcale nie zdając sobie sprawy, jak tam dotarł. Szofer zauważył jego zaciśnięte wargi i spuszczone wzrok, zanim więc odstawił samochód, na wszelki wypadek zadzwonił z garażu do mieszkania.

– Stary jest w kiepskim nastroju, Harry – oznajmił Hutchinsowi, służącemu Helliera. – Lepiej trzymaj się od niego z daleka i miej się na baczności.

Kiedy więc Hellier wszedł do swego luksusowego mieszkania. Hutchins przygotował whisky i zniknął. Hellier, nie zauważając ani obecności whisky, ani nieobecności Hutchinsa, zagłębił się w fotelu i pogrążył w myślach.

Drećzyło go poczucie winy. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni ktoś ośmielił się „podsunąć mu lustro”, w którym mógłby się „przejrzeć”. Wrażenie było piorunujące. Nienawidził samego siebie, a Warrena nienawi-

dził być może jeszcze bardziej za to, że wtykał nos w drażliwe dla niego sprawy. Ale w gruncie rzeczy był uczciwy i w pewnej chwili miał świadomość, że słowa, które wypowiedział przed wyjściem i pośpiesznym opuszczeniem gabinetu Warrena to efekt uzmysłowienia sobie, iż pragnie zmusić doktora, by naruszył swoje zasady moralne; chciał znaleźć jego słaby punkt i sprowadzić go do własnego, nędznego poziomu.

A June? Jakie miejsce zajmowała jego córka? Pomyślał, jaka była kiedyś: wesola, pogodna i beztraska. Jego córka mogła mieć wszystko: najlepsze szkoły, modne stroje, przyjęcia, zagraniczne wakacje i pod każdym względem dostatnie życie.

Miała wszystko, tylko nie mnie – pomyślał z wyrzutem.

A potem, w którymś momencie jego wypełnionego pracą życia, niepostrzeżenie coś się zmieniło. June ogarnęła niezaspokojona żądza pieniędzy. Wyglądało na to, że nie chodzi o rzeczy, które można za nie kupić, lecz o pieniądze jako takie. Hellier doszedł do majątku o własnych siłach, przeszedł trudną szkołę życia i uważał, że młodzi powinni samodzielnie dorabiać się. Zaczęło się od spokojnych rozmów z June, ale stopniowo zmieniły się one w całą serię awantur, aż w końcu stracił panowanie nad sobą i wtedy się rozstali. Warren mówił prawdę: wyrzucił córkę z domu, nie próbując dociekać, dlaczego tak się zmieniła.

Kradzież sreber z domu utwierdziła go jedynie w przekonaniu, że córka zesłała na złą drogę i martwił się głównie o to, by sprawa nie nabrała rozgłosu i by nie dowiedziała się o niczym prasa. Ze wstydem uświadomił sobie nagle, że odkąd ujrzał inspektora Stephensa najbardziej dręczyła go myśl, jak źle będą o nim pisać w związku ze śledztwem.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że utracił najpierw żonę, a potem córkę?

Pracował ciężko, Boże, jak ciężko! Wdarł się na sam szczyt w branży, gdzie najskuteczniej włada się sztyletem. Obracał milionami. Na przykład ta podróż do Ameryki: dobrał się do skóry tym cholernym, przebiegłym jankesom, ale za jaką cenę? Rezultatem tych sześciu miesięcy był wrzód, podwyższone ciśnienie, które wcale nie podobało się lekarzowi, oraz wypalane nerwowo trzy paczki papierosów dziennie... I martwa córka.

Rozejrzał się po swym apartamencie, popatrzył na świetlistego Renoira na przeciwległej ścianie i na błękitnego Picassa na końcu pokoju. Symbole sukcesu. Znienawidził je nagle. Przesiadł się na inne krzesło, żeby mieć je za plecami i móc patrzeć na panoramę Londynu, na elżbietańskie zwieńczenia pałacu St. James.

Po co tyle pracował? Początkowo robił to dla June, dla małej June i dzieci, które miały dopiero się urodzić. Ale Helen nie chciała mieć dzieci i June została jedynaczką. Czy to właśnie wtedy praca stała się dla niego nałogiem, a może raczej środkiem uspokajającym? Wciągnął go bez reszty

dziwny świat wytwórni filmowych, w którym nie wiadomo, co jest ważniejsze: pieniądze czy sztuka. A dla żony nie było już miejsca w jego sercu.

Może dlatego, że ją zaniedbywał, Helen zmuszona była szukać innych mężczyzn, najpierw potajemnie, potem już otwarcie. Zmęczyła go w końcu ta dwuznaczna sytuacja i doprowadził do rozwodu.

Ale jakie, na Boga, miejsce zajmowała w tym wszystkim Helen? Miał pracę, którą należało wykonać. Musiał podejmować decyzje – nikt by tego nie zrobił za niego. A każda cholerna decyzja pociągała za sobą następne, wypełniając mu czas i życie, aż nie było już miejsca na nic poza pracą. Rozprostował dłonie i przyjrzał się im.

Jestem tylko maszyną. Mam umysł, który służy do podejmowania właściwych decyzji i ręce do podpisywania stosownych czeków – pomyślał z niechęcią.

I gdzieś po drodze stracił June, swoją córkę. Ogarnął go nagle potworny wstyd na myśl o liście, o którym mówił Warren. Przypomniał sobie, jak do tego doszło. To był fatalny tydzień. Przygotowywał się do podróży do Ameryki i wszystko szło źle, miał więc masę roboty. Pamiętał, jak panna Waiden, jego sekretarka, zastąpiła mu drogę na korytarzu w biurze.

– Sir Robercie, mam dla pana list od panny Hellier. Chciałaby spotkać się z panem w piątek.

Przystanął nieco zaskoczony, pocierając rozpaczliwie podbródek. Chciał załatwić swoje sprawy, ale zarazem chciał zobaczyć się z June.

– Niech to diabli. Na piątek rano jestem umówiony z Matchetem, a to oznacza także wspólny obiad. Co z popołudniem, panno Waiden?

Nie należała do tych sekretarek, które muszą zaglądać do terminarza. Właśnie dlatego ją zatrudnił.

– Pański samolot odlatuje o wpół do czwartej. Będzie pan musiał wcześniej skończyć obiad.

– Hm... Poproszę panią o coś, panno Waiden. Niech pani napisze do mojej córki i wyjaśni sytuację. Proszę ją powiadomić, że odezwę się ze Stanów, gdy tylko będę mógł.

I wszedł do gabinetu, a potem do następnego i następnego, aż skończył się dzień – osiemnastogodzinny dzień pracy. Dwa dni później był piątek, narada z Matchetem i kosztowny obiad, konieczny, aby go udobruchać. Potem szybka jazda samochodem na Heathrow – i w mgnieniu oka znalazł się w Nowym Jorku, gdzie oczekiwali go Hewling i Morrin ze swoimi zdradliwymi ofertami i propozycjami.

Potem trzeba było lecieć nagle do Los Angeles i pobić hollywoodzkich magnatów na ich własnej ziemi. Gdy wrócił do Nowego Jorku, Morrin namówił go na wycieczkę do Miami i na wyspy Bahama. Była to niewybred-

na próba przekupienia go pozorami gościnności. Ale pokonał ich wszystkich i przeżywał szczyt swej kariery, przywożąc do Anglii owoce zwycięstwa. Na miejscu zastał jednak jeden wielki bałagan, ponieważ nikt nie był wystarczająco silny, żeby kontrolować Matcheta. Przez cały ten czas ani razu nie pomyślał o swojej córce.

Zapadający mrok ukrywał szarość jego twarzy, gdy zastanawiał się nad tą odpychającą prawdą. Próbował szukać usprawiedliwienia, ale go nie znalazł. Wiedział, że było coś jeszcze gorszego. Wiedział, że nigdy nie dał June okazji, by mogła się z nim zwyczajnie, po ludzku, porozumieć. Była w jego życiu czymś drugoplanowym. Właśnie czymś, a nie kimś. Świadomość tego najbardziej go dręczyła. Hellier wstał i przechadzał się niespokojnie po pokoju, myśląc o tym wszystkim, co mówił Warren. Lekarz najwyraźniej traktował narkomanię jako coś zwyczajnego, normalne zjawisko, z którym trzeba sobie jakoś radzić. I choć nie powiedział tego wprost, można było wywnioskować, że jego zadaniem było likwidowanie skutków zaniedbań takich ludzi jak Hellier. Ale z pewnością winę ponosił kto inny. Czy nie ci, którzy czerpią z tego zyski? Handlarze narkotyków? Hellier przystanął, czując jak ogarnia go gniew, gniew, którego po raz pierwszy nie kierował przeciw sobie samemu. Zgrzeszył zaniedbaniem, i nie można było tego bagatelizować. Ale ci, którzy grzeszyli uczynkiem, świadomie dostarczając narkotyki młodym ludziom, aby osiągnąć zysk, popełniali rzecz potworną. On sam okazał się po prostu nierozważny, natomiast handlarze narkotyków byli uosobieniem zła. Jego gniew narastał i w końcu miał wrażenie, że go rozsadzi, ale wtedy świadomie się opanował, aby móc logicznie myśleć. Podobnie jak nie dopuścił, by emocje wzięły w nim górę, gdy prowadził negocjacje z Matchetem, Hewlingiem i Morrinem, i tym razem starał się, by jego niebagatelny intelekt nie napotkał przeszkód w rozwiązywaniu nowego problemu. Hellier, jak wydajna maszyna, zaczynał powoli sprawnie funkcjonować.

Najpierw pomyślał o Warrenie, który jako znawca tematu był niewątpliwie kluczową postacią. Hellier zwykł uważnie obserwować ludzi, z którymi miał do czynienia, ponieważ drobne szczegóły zachowania ujawniały ich słabe i mocne strony. Starał się przypomnieć sobie dokładnie, co i w jaki sposób mówił Warren. Skoncentrował się na tych dwóch kwestiach. Był pewien, że Warren wie coś ważnego. Musiał jednak mieć pewność, że wybrany klucz nie złamie mu się w ręce. Podniósł zdecydowanie słuchawkę telefonu i wykręcił numer. W chwilę potem mówił:

– Tak, wiem, że jest późno. Czy mamy jeszcze adres tej firmy detektywistycznej? Pomogli nam w sprawie Lowreya... Dobrze! Chcę, żeby sprawdzili doktora Nicholasa Warrena. Proszę powtórzyć. Trzeba to zrobić dyskretnie. Wszystko, co można zdobyć na jego temat, do cholery! Jak najszybciej... raport w ciągu trzech dni... Och, do diabła z kosztami! Zapiszcie to na mój prywatny rachunek.

Sięgnął machinalnie po karafkę z whisky.

– I jeszcze jedno. Niech dział informacji zdobędzie, co się da, na temat przemytu narkotyków. Chodzi w ogóle o nielegalny handel narkotykami. Ten raport też ma być gotowy za trzy dni... Tak, nie żartuję. Z tego może być niezły film. – Przerwał na moment. – I ostatnia sprawa: niech ludzie z działu informacji nie zbliżają się do doktora Warrena... Tak, wiem, że to prawdopodobne, ale muszą trzymać się od niego z daleka, zrozumiano? To dobrze!

Odłożył słuchawkę telefonu i z pewnym zdziwieniem spojrzął na karafkę. Postawił ją ostrożnie, po czym wszedł do sypialni. Po raz pierwszy od lat zrezygnował ze zwyczaju starannego wieszania swoich rzeczy, pozostawiając je rozrzucone na podłodze.

Gdy tylko znalazł się w łóżku, opuściło go napięcie i poczuł fizyczne odprężenie. Dopiero wtedy jego organizm poddał się rozpacz i przyszło załamanie. Ciałem tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny wstrząsnął szloch i poduszka zrobiła się mokra od łez.

4

Warren był i zarazem nie był zaskoczony, że Hellier ponownie się odezwał. Zastanawiał się usilnie, o co mu może chodzić i miał właściwie ochotę nie zgodzić się na spotkanie. Wiedział z doświadczenia, że gdy krewni ofiar rozpamiętują zbyt długo śmierć swych bliskich, na dłuższą metę nikomu nie przynosi to pożytku. Efekt jest taki, że ich poczucie winy zamienia się w pogodzenie z losem, on zaś jako człowiek wyznający określone zasady moralne uważał, iż winowajcom należy się kara, a najsurowiej karzemy siebie sami.

Ale gdzieś w zakamarkach świadomości czaiła się nadal niepokojąca wątpliwość, którą zaszczepiły w nim słowa wypowiedziane na pożegnanie przez Helliera. Tak więc, trochę ku własnemu zaskoczeniu, przyjął zaproszenie do mieszkania w dzielnicy St. James. Tym razem, o dziwo, nie miał nic przeciwko temu, by spotkać się z Hellierem na jego terenie. Bitwę i tak już wygrał.

Hellier przywitał go konwencjonalnym „Cieszę się, że pan przyszedł, doktorze” i poprowadziwszy do dużego, luksusowego pokoju o przyjemnym wystroju, wskazał uprzejmie fotel.

– Czego panu nalać? – zapytał. – A może pan nie pije?

Warren uśmiechnął się.

– Nie jestem pozbawiony zwykłych wad. Poproszę szkocką.

Po chwili popijał tak dobrą whisky, że było niemal zbrodnią rozcieńczać ją wodą, i trzymał w ręku papieros z monogramem Helliera.

– My, ludzie filmu, jesteśmy malowniczą gromadą – powiedział z przekąsem Hellier. – Skłonność do autoreklamy to jedna z naszych największych wad.

Warren spojrzał na splecione złote litery RH, wytłoczone na papierosie ręcznej roboty. Podejrzywał, że nie był to zwykły styl Helliera, że z wyrachowaniem dostosowywał się on do konformistycznych wymogów swojej branży. Czekał w milczeniu, aż gospodarz zagaí rozmowę w sensowniejszy sposób.

– Przede wszystkim muszę przeprosić za tę scenę w pańskim gabinecie – powiedział Hellier.

– Już pan to zrobił – odparł z powagą Warren. – A zresztą nie ma pan powodu przeproszać.

Hellier usadowił się w fotelu naprzeciwko Warrena i postawił szklanke na niskim stoliku.

– Słyszę, że cieszy się pan, w swoim środowisku znakomitą opinią.

Warren uniósł brew.

– Doprawdy?

– Zbierałem informacje na temat handlu narkotykami. Wydaje mi się, że zdobyłem tego sporo.

– W ciągu trzech dni? – zapytał Warren z ironią w głosie.

– W przemyśle filmowym, ze względu na jego charakter, musimy posiadać ogromny zasób wiedzy na różne tematy. Mój dział informacji jest niemal równie dobry jak, powiedzmy, biuro prasowe. Jeżeli do jakiejś sprawy przydzielili się wystarczająco dużą grupę ludzi, można w trzy dni wiele zdziałać.

Warren pozostawił to bez komentarza i tylko skinął głową.

– Moi informatorzy stwierdzili, że co trzecia spośród indagowanych osób radziła im zwrócić się do pana jako czołowego specjalisty.

– Ale nie zrobili tego – stwierdził lakonicznie Warren.

Hellier uśmiechnął się.

– Nie, bo im zabroniłem. Sam pan powiedział, że jest bardzo zajęty. Nie chciałem panu przeszkadzać.

– Pewnie powinienem podziękować – odparł Warren z udaną powagą.

Hellier wyprostował plecy.

– Doktorze Warren, skończmy te potyczki. Wyłóżę wszystkie karty na stół. Poprosiłem również, aby zebrano informacje na pana temat.

Warren popijał whisky, spokojnie przyglądając się Hellierowi znad szklanki.

– Za dużo pan sobie pozwala – zauważył oględnie. – Powinienem chyba zapytać, czego się pan dowiedział.

Hellier uniósł dłoń.

– Samych dobrych rzeczy, doktorze. Cieszy się pan godną pozazdroszczenia opinią jako człowiek i jako lekarz, a prócz tego jest pan wybitnym specjalistą w dziedzinie narkomanii.

– Chciałbym kiedyś przeczytać swoje dossier – stwierdził drwiąco Warren. – Przypominałoby to lekturę własnego nekrologu. Niewielu z nas ma taką szansę. – Odstawił szklanę. – A czemu mają służyć te... te wysiłki z pańskiej strony?

– Chciałem uzyskać pewność, że jest pan odpowiednim człowiekiem – odparł poważnie Hellier.

– Mówi pan zagadkami – zniecierpliwił się Warren. – Chce pan mi zaproponować pracę? – zapytał rozbawiony. – Może mam być doradcą przy kręceniu filmu?

– Może – odparł Hellier. – Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie. Rozwiódł się pan z żoną. Dlaczego?

Warren był oburzony, zdziwiony i zaszokowany. Oburzył go charakter pytania. Zdziwiło to, że układny Hellier je zadał, a zaszokował fakt, iż zasięgał o nim aż tak szczegółowych informacji.

– To moja sprawa – odpowiedział chłodno.

– Niewątpliwie. – Hellier przyglądał się Warrenowi przez moment. – Powiem panu, dlaczego żona się z panem rozwiódła. Nie podobały się jej pańskie kontakty z narkomanami.

Warren oparł dłonie o poręcz fotela, zamierzając wstać, ale Hellier powiedział stanowczo:

– Siadaj, człowieku. Wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

– Niech to będzie coś sensownego – odparł Warren, uspokajając się. – Takie rozmowy działają mi na nerwy.

Hellier zgasił papierosa i zapalił następnego.

– Ten fakt mówi mi więcej o panu niż o pańskiej żonie, która mnie nie obchodzi. Dowodzi mianowicie, że sprawy zawodowe są dla pana ważniejsze niż życie osobiste. Wie pan, że uważają pana za fanatyka w dziedzinie narkotyków?

– Już mi na to zwracano uwagę – rzekł chłodno Warren. Hellier pokiwał głową.

– Jak sam pan wspomniał – a potwierdza to mój pobieżny raport – narkomani nie należą do najłatwiejszych pacjentów. Są zarozumiali, agresywni, zakłamanii, złośliwi, przebiegli – pasują do nich wszelkie pejoratywne określenia. A jednak pan mimo wszystko uparczywie stara się im

pomóc. Nawet za cenę rozstania z żoną. Na mój gust świadczy to o wielkim zaangażowaniu.

– Też coś! – zachnął się Warren. – Taki już jest charakter tej pracy. Wszystkie ujemne cechy, które pan wymienił, stanowią objawy typowego zespołu uzależnienia. Narkomani zachowują się w ten sposób z powodu nałogu i nie można pozostawić ich własnemu losowi tylko dlatego, że nie podoba nam się ich sposób bycia. – Pokręcił głową. – Proszę przejść do rzeczy. Nie zjawilem się tu, żeby być podziwianym – zwłaszcza przez pana.

Hellier zrobił się czerwony na twarzy.

– W pewnym sensie powiedziałem już, o co chodzi – stwierdził. – Ale przejdę do sedna sprawy. Kiedy byłem w pańskim gabinecie, powiedział pan, że cała rzecz w tym, by powstrzymać nielegalny dopływ narkotyków. Powiedział pan też, że to problem międzynarodowy. I stwierdził pan natychmiast, że nie jest przygotowany, by wyskoczyć do Iranu i przeżyć tam szaleńczą przygodę. – Wymierzył w niego wyprostowany palec. – Myślę, że pan coś wie, doktorze Warren, i to coś bardzo konkretnego.

– Mój Boże! – odrzekł Warren. – Wyciąga pan pochopne wnioski.

– Jestem do tego przyzwyczajony – odparł spokojnie Hellier. – Mam spore doświadczenie – i na ogół się nie mylę. Za to mi płacą i to sporo. A więc dlaczego Iran? Heroinę wyrabia się z opium, a opium pochodzi z wielu miejsc. Może pochodzić z Dalekiego Wschodu, z Chin albo Birmy, ale pan stwierdził, że problem nielegalnych dostaw ma swoje źródło na Bliskim Wschodzie. Dlaczego Bliski Wschód? I dlaczego akurat Iran? To opium mogłoby pochodzić z któregośkolwiek z kilku krajów od Afganistanu po Grecję, a pan bez namysłu wymienia Iran. – Odstawił szklanke, która delikatnie brzęknęła. – Pan wie coś konkretnego, doktorze Warren.

Warren poruszył się w fotelu.

– Skąd to nagle zainteresowanie?

– Ponieważ postanowiłem coś z tym zrobić – odparł Hellier. Zaśmiał się krótko, widząc wyraz twarzy Warrena. – Nie, nie oszalałem ani nie mam manii wielkości. Sam pan mi podsunął tę myśl. Po jakiego diabła leczyć tych cholernych idiotów, skoro mogą wyjść na ulicę i za najbliższym rogiem dostać następną porcję narkotyku? Gdyby przerwać nielegalne dostawy, miałby pan o wiele łatwiejszą pracę.

– Na Boga! – wybuchnął Warren. – Pracują nad tym setki policjantów na całym świecie. Niby dlaczego pan miałby być od nich lepszy?

Hellier wycelował w niego palec.

– Ponieważ posiada pan informacje, których nie chce pan przekazać policji ze znanych sobie powodów – jestem pewien, że najzupełniej etycznych.

– A które przekaże panu, czy o to chodzi?
– No, nie – odparł Hellier. – Może je pan zatrzymać dla siebie, jeśli pan chce. – Raz jeszcze wymierzył palec w kierunku Warrena. – Widzi pan, to pan załatwi tę sprawę.

– Teraz już wiem, że pan oszalał – stwierdził z niesmakiem Warren. – Panie Hellier, myślę, że jest pan wytrącony z równowagi. Chce pan odbyć jakąś dziwną ekspiację i próbuje mnie pan do tego wciągnąć. – Skrzywił się. – To przypomina zamykanie drzwi do stajni, kiedy koń już z niej uciekł. Nie chcę brać w tym udziału.

Hellier, nie przejmując się jego słowami, zapalił kolejnego papierosa, na co Warren powiedział nagle:

– Za dużo pan pali.

– Jest pan już drugim lekarzem, który mi to mówi w ciągu ostatnich dwóch tygodni – Hellier machnął ręką. – Widzi pan, nawet teraz nie przestaje pan wykonywać swego zawodu. Kiedy poprzednio się widzieliśmy, powiedział pan coś jeszcze: „Jestem lekarzem, który jakoś wiąże koniec z końcem”. – Roześmiał się. – To fakt, znam co do grosza stan pańskiego konta. Przypuśćmy jednak, że dysponowałby pan praktycznie nieograniczonymi funduszami, a do tego informacjami, które moim zdaniem pan posiada, bo nawiasem mówiąc wcale pan temu nie przeczy. Co wtedy?

Warren odezwał się bez namysłu:

– Jeden człowiek sobie z tym nie poradzi.

– Kto powiedział, że chodzi o jednego człowieka? Niech pan dobierze sobie ludzi – nalegał Hellier. Warren wpatrywał się w niego.

– Zdaje się, że mówi pan poważnie – stwierdził ze zdziwieniem.

– W mojej branży wymyśla się dla ludzi bajki – powiedział poważnie Hellier – ale na własny użytek tego nie robię. Mówię jak najbardziej poważnie.

Warren wiedział, że się nie omylił. Śmierć córki naprawdę wytrąciła Helliera z równowagi. Zawsze dążył w życiu do jednego celu, a teraz zboczył z kursu i skoncentrował się całkowicie na nowym zadaniu. I trudno byłoby go powstrzymać.

– Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, o jaką chodzi stawkę – powiedział.

– Nie obchodzi mnie to – odparł obojętnie Hellier. – Chcę załatwić tych drani. Chcę krwi!

– Czyjej krwi? Mojej? – zapytał cynicznie Warren. – Wybrał pan nieodpowiedniego człowieka. Zresztą chyba nikt odpowiedni nie istnieje. Potrzebny panu ktoś pośredni między świętym Jerzym a Jamesem Bondem. Jestem lekarzem, a nie pogramcą gangsterów.

– Ma pan potrzebną wiedzę i kwalifikacje – powiedział z naciskiem Hellier. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę może Warrena utracić, dodał

więc spokojnie: – Niech pan nie podejmuje pochopnej decyzji, doktorze. Proszę to przemyśleć. – Jego głos nabrał ostrego tonu. – I proszę nie zapominać o etyce. – Spojrzał na zegarek. – A teraz może coś przekąsimy?

5

Warren opuszczał mieszkanie Helliera najedzony do syta, ale pełen niepokoju. Idąc po Jermyn Street w kierunku Piccadilly Circus rozważał wszystkie aspekty jego dziwnej propozycji. Bez wątpienia Hellier mówił serio, ale nawet w połowie nie miał pojęcia, w co się pakuje. W występnym świecie handlarzy narkotyków nie znano litości. Gra szła o zbyt dużą stawkę.

Przeciskając się przez szemrzący tłum na Piccadilly Circus, skręcił w Soho. Przystanął obok pubu, spojrzał na zegarek i wszedł do środka. Było tam tłoczno, ale ktoś usłusznie zrobił mu miejsce w rogu baru, zamówił więc szkocką i trzymając szklanekę w ręce, rozejrzał się wokół. Po drugiej stronie sali siedziało przy stoliku trzech jego chłopaków. Przyjrzał się im badawczo i uznał, że niedawno musieli się szprycować. Zachowywali się swobodnie i prowadzili ożywioną rozmowę. Jeden z nich spojrzał znad stolika i pomachał do niego ręką. Warren pozdrowił go, unosząc dłoń.

Aby dotrzeć do swoich pacjentów i mimo wszelkich trudności zdobyć ich zaufanie, Warren przebywał wśród nich i w końcu go zaakceptowali. Walczył z uporem, żeby stosowali czyste strzykawki i wodę destylowaną. Zbyt wielu z nich nie miało najmniejszego pojęcia o higienie. Dzielił z nimi życie w przestępczym półświatku, o którym nawet prostytutki z Soho wyrażały się z pogardą, uważając, że narkomani psują opinię całej okolicy. Człowiek miał ochotę się śmiać – albo płakać.

Warren nie poddawał ocenie ich postępowania. Dla niego był to problem społeczny i medyczny. Nie obchodziła go bezpośrednio wrodzona człowiekowi słabość, która doprowadzała ludzi do zażywania heroiny. Wiedział jedynie, że gdy ktoś raz popadł w nałóg, nie miał już wyjścia. Na tym etapie żadne oskarżenia nie miały sensu, gdyż do niczego nie prowadziły. Był tylko chory człowiek, który potrzebował pomocy i Warren pomagał mu, mając przeciw sobie całe społeczeństwo, policję, a nawet samego narkomana.

Właśnie w tym pubie i w podobnych miejscach dowiedział się trzech niepodważalnych faktów i usłyszał tysiące pogłosek, składających się na tę wyjątkową wiedzę, którą Hellier usiłował z niego wydobyć. Zadając się z narkomanami miał do czynienia ze światem przestępczym. Na początku w jego obecności byli małomówni, ale potem, kiedy przekonali się, że można liczyć na jego dyskrecję, zaczęli rozmawiać z nim bardziej swo-

bodnie. Wiedzieli, kim jest i co robi, ale akceptowali to, chociaż dla części z nich był po prostu jeszcze jednym „napalonym samarytaninem”, który nie powinien wtykać nosa w cudze sprawy. Większość jednak go zaakceptowała.

Odwrócił się w stronę baru i zaczął wpatrywać w szklanke. „Nick Warren jako Bond amator!” – pomyślał. Hellier jest niesamowity. Problem polegał na tym, że nie zdawał sobie sprawy, na co się porywa. Był milionerem, ale przy cenach obowiązujących w handlu narkotykami nawet Hellier mógł się wydawać biedakiem, a gdy gra idzie o takie pieniądze, ludzie nie wahają się zabijać.

Czyjaś ciężka ręka walnęła go po plecach tak, że aż się zakrztusił.

– Cześć, doktorku. Topisz smutki?

Warren odwrócił się. – Cześć, Andy. Napij się.

– Bardzo chętnie – odparł Andrew Tozier. – Ale na mój rachunek. – Wyciągnął portfel i z grubego pliku wyłuskał pojedynczy banknot.

– Nie przyszłoby mi to do głowy – powiedział chłodno Warren. – Jesteś wciąż bez pracy. – Odszukał wzrokiem barmana i zamówił dwie porcje whisky.

– Taaak... – odparł Tozier, chowając portfel. – Na mój gust, na świecie robi się zbyt spokojnie.

– Chyba nie czytasz gazet – zauważył Warren. – Rosjanie znowu rozrabiają, a w Wietnamie, jak słyszałem, dalej jest gorąco.

– Ale to wielki biznes – stwierdził Tozier. – Dla takich drobnych przedsiębiorców jak ja, nie ma miejsca. Wszędzie to samo – duże firmy niszczą nas, nic nie znaczących facetów. – Wziął do ręki szklanke. – Zdrowie!

Warren przyglądał mu się z nagłym zainteresowaniem. Major Andrew Tozier. Zawód: najemnik. Płatny zabójca. Andy nie strzeliłby do kogokolwiek – to byłoby morderstwo. Ale gotów był na zlecenie jakiegoś nowego rządu zapędzić do szeregu pułk na wpół wyszkolonych czarnoskórych żołnierzy i poprowadzić ich do boju. Stanowił żywą ilustrację ogarniętego schizofrenią świata.

– Zdrowie! – powiedział machinalnie Warren. W głowie kłębiły mu się szalone myśli.

Tozier wskazał głową na drzwi.

– Twój gabinet się zapełnia, doktorku. – Warren obejrzał się i zobaczył wchodzących właśnie czterech młodych mężczyzn. Trzej byli jego pacjentami, ale czwartego nie znał. – Nie rozumiem, jak możesz znieść tych śmierdzieli – stwierdził Tozier.

– Ktoś musi się nimi zajmować – odparł Warren. – Kim jest ten nowy?

Tozier wzruszył ramionami.

– Jeszcze jedna przeklęta dusza w drodze dopiekle. – Jego słowa zabrzmiały dość makabrycznie. – Spotkasz go zapewne, jak będzie chciał się szprycować.

Warren pokiwał głową.

– A więc w twojej robocie zastój.

– Całkowity.

– Może żądasz wygórowanych stawek? Przypuszczam, że to kwestia podaży i popytu, jak w każdej innej branży.

– Stawki nigdy nie są wygórowane – odparł Tozier nieco smętnie. – Jaką cenę wyznaczyłbyś za własną skórę, doktorku?

– Właśnie zadano mi to pytanie – w pośredni sposób – rzekł Warren, myśląc o Hellierze. – A jaka właściwie obowiązuje stawka?

– Pięćset miesięcznie plus cholernie wysoka premia po wykonaniu zadania. – Tozier uśmiechnął się. – Chcesz zacząć wojnę?

Warren popatrzył mu w oczy.

– Niewykłuczone.

Tozier przestał się uśmiechać. Przyjrzał się Warrenowi uważnie. Sposób, w jaki to powiedział, zrobił na nim wrażenie.

– Wielki Boże! Chyba mówisz serio – rzekł. – Z kim chcesz się zmierzyć? Ze stołeczną policją? – Uśmiechnął się ponownie, tym razem jeszcze szerzej.

– Nigdy nie pracowałeś tak naprawdę na prywatne zlecenie, prawda? – zapytał Warren. – Chodzi mi o to, czy brałeś udział w jakiejś prywatnej, a nie publicznej wojnie.

Tozier pokręcił głową.

– Zawsze trzymałem się prawa, a przynajmniej polityki. Zresztą niełatwo o ludzi, którzy finansują rozróby z własnej kieszeni. Rozumiem, że nie chodzi o noszenie spluwy za jakimś ważniakiem z Soho, który dorabia się mozolnie prywatnego imperium? Ani o osobistą ochronę?

– Nic z tych rzeczy – odparł Warren. Zastanawiał się, jaki jest Andrew Tozier. Miał swoje zalety. Niedawno Warren spytał go, dlaczego nie skończył z konfliktu w jednym z krajów Ameryki Południowej.

Tozier okazał zjadliwą pogardę.

– Na Boga! Tam biją się o władzę dwa gangi awanturników z wyższych sfer. Nie mam ochoty powystrełać Bogu ducha winnych, pieprzonych wieśniaków, którzy przypadkiem znajdują się na linii ognia. – Patrzył na Warrena w skupieniu. – Sam decyduję o tym, gdzie mam walczyć – stwierdził.

Warren pomyślał, że gdyby podjął idiotyczne wyzwanie Helliera, Andy Tozier byłby dla niego odpowiednim towarzyszem. Ale nie brał tego poważnie.

Tozier pomachał ręką na kelnera i uniósł w górę dwa palce. Potem odwrócił się do Warrena i rzekł:

– Masz jakiś problem, doktoru. Ktoś wywiera na ciebie presję?

– W pewnym sensie – odparł kwaśno Warren. Pomyślał, że Hellier tak naprawdę jeszcze nie zaczął. Następnym etapem będzie moralny szantaż.

– Podaj mi jego nazwisko – zaproponował Tozier. – Trochę go przycisnę. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał.

Warren uśmiechnął się. – Dzięki, Andy. To innego rodzaju presja.

Tozier najwyraźniej poczuł ulgę.

– W takim razie w porządku. Myślałem, że zmówili się przeciw tobie ci twoi szprycownicy. Szybko bym ich przywołał do porządku. – Położył na kontuarze jednofuntowy banknot i zabrał resztę. – No to, oby nam się...!

– Przypuśćmy, że to ja potrzebowałbym ochrony – zaczął ostrożnie Warren. – Czy podjąłbyś się tego za normalną cenę?

Tozier roześmiał się na głos.

– Nie byłoby cię stać. Ale popracowałbym za darmo, gdyby ta robota nie trwała zbyt długo. – Na czole pojawiły mu się zmarszczki. – Ciebie naprawdę coś gryzie, doktoru. Lepiej powiedz mi, o co chodzi.

– Nie – odparł stanowczo Warren. Jeżeli – a stało to pod cholernie dużym znakiem zapytania – miał głębiej wchodzić w tę sprawę, nie mógł nikomu ufać, nawet Andy'emu Tozierowi, który wydawał się dość uczciwy. – Jeśli w ogóle do tego dojdzie – powiedział powoli – cała rzecz potrwa, powiedzmy, parę miesięcy i dotyczyć będzie Bliskiego Wschodu. Dostałbyś swoich pięć setek miesięcznie plus premię.

Tozier ostrożnie odstawił szklankę.

– I nie chodzi o politykę?

– O ile mi wiadomo, nie – odparł Warren w zamyśleniu.

– I mam ochraniać ciebie? – Tozier wydawał się zaskoczony. Warren uśmiechnął się szeroko.

– Może będzie trochę przepychanki.

– Bliski Wschód i żadnej polityki. Można i tak – powiedział Tozier z zadumą, kręcąc głową. – Lubię zwykle wiedzieć dokładniej, w co się pakuję. – Posłał Warrenowi przenikliwe spojrzenie. – Ale tobie mogę zaufać. Daj znać, kiedy będę potrzebny.

– Może nigdy do tego nie dojść – ostrzegł Warren. – Nie ma żadnych zobowiązań.

– W porządku – odparł Tozier. – Powiedzmy, że jestem do usług. – Ostentacyjnie opróżnił szklankę i odstawił ją z hałasem, patrząc wyczekująco na Warrena. – Teraz twoja kolejka. Jeżeli kogoś stać na wynajęcie mnie, może postawić mi drinka.

Wróciwszy do domu, Warren przez długi czas siedział w fotelu, wpatrując się w przestrzeń. Mimo tego, co usłyszał od niego Andy Tozier, w jakiś trudny do określenia sposób czuł się zaangażowany w sprawę. Już samo spotkanie z tym człowiekiem nasunęło mu różne pomysły, pomysły zupełnie szalone, ale z każdym tyknięciem zegara coraz bardziej realne i konkretne. W pewnej chwili nerwowo wstał z fotela i przeszedł przez pokój.

– A niech cię diabli, Hellier! – powiedział na głos.

Podszedł do biurka, wyjął kartkę papieru i zaczął coś skrzętnie zapisywać. Wpół godziny później miał zanotowanych około dwudziestu nazwisk. Przejrzał uważnie listę i zaczął wykreślać niektóre z nich. Gdy minął kolejny kwadrans, spis zawierał tylko pięć nazwisk:

ANDREW TOZIER

JOHN FOLLET

DAN PARKER

BEN BRYAN

MICHAEL ABBOT

6

Dom pod numerem dwudziestym trzecim przy ulicy Akacjowej był schludnym bliźniakiem, podobnym do setek innych w okolicy. Warren pchnął drewnianą furtkę, po czym mijając maleńki przydomowy ogródek przeszedł kilka kroków dzielących go od frontowych drzwi i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu zadbane kobieta w średnim wieku, witając go z radością.

– O, doktor Warren! Dawno pana nie widzieliśmy. – Na jej twarzy pojawiło się zaniepokojenie. – Chyba nie chodzi znów o Jimmy'ego, prawda? Nie wpakował się w nowe kłopoty?

Warren uśmiechnął się uspokajająco.

– Nic mi o tym nie wiadomo, pani Parker. Czuł, jaką sprawiło jej to ulgę.

– Och! – westchnęła. – No to i dobrze. Chce pan zobaczyć się z Jimmy'm? Nie ma go w domu. Poszedł do klubu.

– Przyszedłem do Dana na przyjacielską pogawędkę – wyjaśnił Warren.

– Ależ jestem roztrzępana – zreflektowała się pani Parker. – Trzymam pana w drzwiach. Proszę wejść, doktorze. Dan właśnie wrócił. Myje się na górze.

Warren doskonale wiedział, że Dan Parker dopiero co wrócił. Nie chciał się z nim spotykać w warsztacie, w miejscu pracy, czekał więc w swoim samochodzie i pojechał za nim do domu. Pani Parker wprowadziła go do pokoju, którego okno wychodziło na ulicę.

– Powiem mu, że pan przyszedł – oznajmiła.

Warren rozejrzał się po niewielkim pokoiku. Zobaczył trzy gliniane kaczki na kredensie obok zdjęcia dzieci i fotografii młodego jeszcze Dana Parkera w mundurze. Nie musiał czekać długo. Parker wszedł do pokoju i wyciągnął do niego rękę.

– Cóż za nieoczekiwana przyjemność, doktorze. – Ściskając mu dłoń, Warren poczuł twardość zgrubiałego naskórka. – Któregoś dnia mówiłem właśnie do Sally, że byłoby dobrze częściej pana widywać.

– Może tak jest lepiej – odparł Warren z odrobiną żalu. – Obawiam się, że właśnie przestraszyłem panią Parker.

– Taak – powiedział z powagą Parker. – Wiem, o czym pan myśli. Ale mimo wszystko chcielibyśmy pana widywać. Tak po przyjacielsku. – W jego głosie nadal pobrzmiwał miły akcent z Lancaster, chociaż Parker od wielu lat mieszkał w Londynie. – Niech pan siada, doktorze. Sally przyniesie zaraz herbatę.

– Przyszedłem do pana... w interesach.

– Ach, tak – odparł ze spokojem Parker. – Zajmiemy się tym po podwieczorku, zgoda? Sally i tak musi wyjść. Jej młodsza siostra niezbyt dobrze się czuje, więc pomaga jej trochę przy dziecku.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Warren. – A co u Jimmy'ego?

– Teraz już w porządku – odparł Parker. – Sprowadził go pan ze złej drogi, doktorze. Postraszył go pan jak należy, a ja staram się dopilnować, żeby dalej miał bat nad głową.

– Nie byłbym dla niego zbyt surowy.

– Tyle, ile trzeba – stwierdził bezkompromisowo Parker. – Nie będzie się już głupio zabawiał. – Westchnął ciężko. – Co te dzieciaki teraz wyprawiają. Kiedy byłem młody, to się nie zdarzało. Gdybym zrobił to, co Jimmy, ojciec złożyłby mi pasem skórę. A miał ciężką rękę ten mój stary. – Pokręcił głową. – Ale nam coś takiego nawet by nie przyszło do głowy.

Warren wysłuchiwał tych staromodnych rodzicielskich utyskiwań bez cienia uśmiechu.

– Tak – zgodził się z całą powagą. – Wiele się zmieniło.

Sally Parker wniosła podwieczorek. Była to skromniejsza, południowa odmiana posiłku, jaki jada się tradycyjnie w północnej części kraju. Namawiała Warrena na domowe ciasteczka, nalegała też, by wypił drugą filiżankę herbaty. Warren dyskretnie przyglądał się Parkerowi, próbując się zo-

rientować, jak zacząć rozmowę na delikatny temat, aby możliwie najskuteczniej skłonić go do współpracy.

Daniel Parker miał czterdzieści lat. W ostatnich miesiącach wojny wstąpił do marynarki i postanowił w niej pozostać. Podczas pokoju pisał się uparcie do góry, mimo że awanse, siłą rzeczy, następowały rzadko. Walczył na wodach Korei, a po zakończeniu konfliktu był już podoficerem z szansami na stopień oficerski. Ale w 1962 roku torpeda stoczyła mu się na nogę i taki był koniec jego kariery w marynarce. Wyszedł z wojska pozbawiony stopy, z rentą inwalidzką i bez pracy. Brakiem zajęcia się nie martwił, wiedząc, że ma talent w rękach. Od 1963 roku pracował jako mechanik samochodowy i Warren był zdania, że jego pracodawca ma piekielne szczęście.

Pani Parker spojrzała na zegarek i zawołała:

– Och, spóźnię się. Musi mi pan wybaczyć, doktorze.

– Oczywiście, pani Parker – odparł Warren, wstając.

– Idź, złotko – powiedział Parker. – Pozbieram ze stołu i porozmawiamy sobie spokojnie z doktorem. – Kiedy żona wyszła, Parker wyciągnął pękatą fajkę i zaczął ją napełniać. – Wspomniał pan, że ma do mnie jakiś interes, doktorze – spojrzał na niego z zaciekawieniem, a potem się uśmiechnął. – Może potrzebny panu nowy wóz?

– Nie – odparł Warren. – Jak tam w warsztacie, Dan?

Parker wzruszył ramionami.

– Jak zwykle. Czasem robi się trochę nudno, ale teraz mam ciekawe zajęcie przy mini cooperze. – Uśmiechnął się lekko. – Najczęściej wybawiam z kłopotów damy. Któregoś dnia przyszła taka jedna i powiedziała, że samochód za dużo pali. Sprawdziłem, wszystko było w porządku, więc go jej oddałem. Ale niedługo potem wróciła z tą samą sprawą. – Zapalił zapalną. – Znowu niczego nie stwierdziłem, więc mówię do niej: „Panno Hampton, przejadę się z panią jeszcze raz na próbę”. No i ruszamy. A ona wyciąga ssanie, żeby powiesić sobie torebkę. Była przekonana, że właśnie do tego służy. – Pokręcił głową zdegustowany.

Warren zaśmiał się.

– Marynarka to już odległa przeszłość, Dan.

– Tak, to prawda – odparł Parker trochę smętnie. – Wie pan, ciągle mi tego brak. Ale cóż można poradzić? – bezwiednie potarł okaleczoną nogę. – Może tak jest lepiej dla Sally i dzieciaków, chociaż nigdy nie miała nic przeciwko temu, że nie było mnie w domu.

– Czego najbardziej panu brak, Dan?

Parker z namysłem pykał z fajki.

– Trudno powiedzieć. Chyba okazji do obsługiwanego dobrego sprzętu. Przy tym łataniu fabrycznych wozów człowiek się nie rozwija. Dlatego lu-

bię dostawać coś nowego, jak ten mini cooper, nad którym teraz pracuję. Kiedy skończę, sam Issigonis by go nie rozpoznał.

– Przypuśćmy, że miałby pan okazję zająć się znowu czymś z dziedziny marynarki – zaczął ostrożnie Warren. – Podjąłby się pan tego?

Parker wyjął fajkę z ust.

– Do czego pan zmierza, doktorze?

– Potrzebuje kogoś, kto zna się na torpedach – powiedział Warren prosto z mostu.

Parker zmrużył oczy.

– Chyba znam się na nich lepiej niż ktokolwiek, ale nie pojmuję... – przerwał w pół zdania i patrzył na Warrena zaskoczony.

– Niech pan posłucha. Powiedzmy, że chcę przemycić do kraju, który graniczy z morzem coś stosunkowo lekkiego i mającego dużą wartość. Czy można to zrobić za pomocą torpedy?

Parker podrapał się po głowie.

– Nigdy nie wpadłem na ten pomysł – powiedział, szeroko się uśmiechając. – Ale to cholernie dobra myśl. Co chce pan szmuglować? Szwajcarskie zegarki?

– A co by pan powiedział na heroinę? – zapytał cicho Warren.

Parker zeszytywniał i wpatrywał się w Warrena tak, jakby temu wyrosły nagle rogi i ogon. Fajka wypadła mu z ręki, ale nie zwracał na nią uwagi.

– Mówi pan poważnie? – zapytał. – Nigdy bym w to nie uwierzył.

– Wszystko w porządku, Dan – odparł Warren. – Mówię poważnie, ale w innym sensie niż pan sądzi. Tylko czy dałoby się to zrobić?

Dopiero po dłuższej chwili Parker sięgnął po fajkę.

– Jak najbardziej – powiedział. – Starego typu torpeda Mark XI miała w głowicy ładunek o wadze ponad siedmiuset funtów. Można by tam wpakować cholernie dużo heroiny.

– A co z zasięgiem?

– Maksymalnie pięć i pół tysiąca metrów, gdyby wcześniej rozgrzać baterie – odparł Parker bez namysłu.

– Cholera! – Warren był zawiedziony. – To za mało. Wspomniał pan o bateriach. To torpeda z elektrycznym napędem?

– Tak. Idealna do przemytu. No wie pan, nie pozostawia za sobą pęcherzyków powietrza.

– Ale ma zdecydowanie za mały zasięg – odparł Warren zniechęcony.

– A to był taki dobry pomysł...

– W czym problem? – zapytał Parker, zapalając zapalkę.

– Myślałem o tym, żeby wystrzelić torpedę na brzeg ze statku płynącego poza wodami terytorialnymi Stanów Zjednoczonych. To jakieś dwanaście mil – ponad dwadzieścia jeden tysięcy metrów.

– Duża odległość – stwierdził Parker, pykając z fajki. Nie paliła się, musiał więc użyć następnej zapalniczki i dopiero po jakimś czasie tytoń rozżarzył się jak należy. – Ale może dałoby się coś zrobić.

Warren na nowo odzyskał nadzieję i spojrzał na niego z uwagą.

– Naprawdę?

– Torpedę typu Mark XI skonstruowano w 1944 roku, a od tamtego czasu wiele się zmieniło – powiedział Parker zamyślony, po czym podniósł wzrok. – A w ogóle skąd by ją pan wziął?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – odparł Warren. – Ale nie powinno być problemu. W Szwajcarii mieszka pewien Amerykanin, który ma wystarczające zapasy broni, żeby uzbroić całą brytyjską armię. Powinien mieć też torpedy.

– A więc będzie to typ Mark XI – odparł Parker. – Albo ich niemiecki odpowiednik. Wątpię, żeby coś nowocześniejszego trafiło już na wolny rynek. – Ściągnął wargi. – To ciekawa sprawa. Widzi pan, torpeda typu Mark XI ma baterie ołowiowo-kwasowe. Pięćdziesiąt dwie sztuki. Ale od wojny sporo się zmieniło i teraz można już dostać coś lepszego. Wyrzuciłbym te stare baterie i zastąpił je rtęciowymi, o dużej mocy. – Popatrzył w sufit rozmarzonym wzrokiem. – Trzeba by zaprojektować od nowa wszystkie obwody i cholernie dużo by to kosztowało, ale myślę, że bym sobie poradził.

Pochylił się do przodu, postukał fajką o kominek, żeby opróżnić ją z popiołu, po czym wbił w Warrena stanowcze spojrzenie.

– Tyle że nie ma mowy o przemyśle narkotyków.

– W porządku, Dan. Nie zmieniłem poglądów. – Warren potarł dłonią podbródek. – Chcę panu zaproponować wspólną robotę. Zarobi pan dwa razy tyle, co w warsztacie, a na koniec będzie duża premia. Gdyby potem nie chciał pan do warsztatu wracać, ma pan zagwarantowaną stałą pracę na jak długo pan zechce.

Parker wydmuchał długą smugę dymu.

– Coś mi tu nieładnie pachnie, doktorze. Wygląda to na nielegalną robotę.

– Nie jest nielegalna – odparł pośpiesznie Warren. – Ale może być niebezpieczna.

Parker zastanawiał się.

– Ile by to potrwało?

– Nie wiem. Może trzy miesiące, może pół roku. Poza tym nie chodzi o Anglię. Pojechałby pan na Bliski Wschód. – I może być niebezpiecznie.

– W jakim sensie?

Warren zdecydował się postawić sprawę uczciwie:

– No cóż, jeżeli zrobi pan niewłaściwy krok, mogą pana zastrzelić.

Parker położył fajkę na kominku.

– Czy aby nie za dużo pan żąda? Mam żonę i troje dzieci, a pan przychodzi tu z dziwaczną ofertą, która śmierdzi na odległość i dowiaduję się w dodatku, że mogą mnie zastrzelić. Dlaczego właściwie zwraca się pan do mnie?

– Potrzebuję specjalisty od torped, a nie znam żadnego oprócz pana. – Na ustach Warrena pojawił się ledwie widoczny uśmiech. – W pańskiej branży nie roi się od fachowców.

Parker skinął głową potakująco.

– To fakt. Nie chcę się chwalić, ale nie znam innego człowieka, który zrobiłby to, czego pan oczekuje. Trzeba by się przy tym nieźle nagimnastykować, co? Pchnąć to stare cygaro na odległość ponad dwudziestu tysięcy metrów – no, no!

Warren wstrzymał oddech, obserwując, jak Parker walczy z pokusą, a potem westchnął, gdy ten pokręcił głową, mówiąc:

– Nie, nie mógłbym tego zrobić. Co by powiedziała Sally?

– Wiem, że to niebezpieczna robota, Dan.

– Nie tym się martwię. Nie chodzi o mnie. Mogłem zginąć w Korei. Problem w tym, że... No cóż, nie mam wysokiego ubezpieczenia, a co ona pocznie z trójką dzieciaków, gdyby coś mi się stało?

– Powiem panu tylko tyle, Dan – odparł Warren. – Nie przypuszczam, żeby doszło do najgorszego, ale gdyby tak się zdarzyło, dopilnuję, żeby Sally dostała dożywotnią rentę równą pańskim obecnym zarobkom. Bez żadnych warunków – i mogę to panu dać na piśmie.

– Widzę, że szasta pan pieniędzmi. A może nie są pańskie? – spytał rzeczowo Parker.

– Nieważne, skąd pochodzą. Chodzi o słuszną sprawę.

Parker westchnął. – Na tyle mogę panu zaufać. Wiem, że nigdy nie stanąłby pan po niewłaściwej stronie. Kiedy ma się zacząć ta heca?

– Nie wiem – odparł Warren. – Może w ogóle się nie zacznie. Jeszcze się nie zdecydowałem. Ale jeżeli wystartujemy, to w przyszłym miesiącu.

Parker gryzł cybuch fajki, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że dawno zgasła. Wreszcie spojrzał na Warrena z błyskiem w oczach.

– Dobrze, zgadzam się. Sally zrobi mi pewnie piekielną awanturę. – Uśmiechnął się szeroko. – Najlepiej nic jej nie mówić, doktorze. Wymyślę jakąś bajeczkę. – Podrapał się w głowę. – Muszę spotkać się z kumplami z marynarki i zdobyć instrukcję do torpedy Mark XI. Gdzieś się jakaś musiała uchować. Będzie mi potrzebna, żeby przerobić obwody.

– Proszę się tym zająć. Może lepiej panu powiem o co chodzi – powiedział Warren.

– Nie! – zaprotestował Parker. – Mam już ogólne pojęcie. Jeżeli to ma być niebezpieczne, im mniej wiem, tym lepiej dla pana. Kiedy nadejdzie pora, powie mi pan, co robić, a ja to zrobię – o ile będę umiał.

– Czy może się nie udać? – zapytał Warren bez ogródek.

– Może. Ale jeżeli dostanę wszystko, o co poproszę, chyba da się to zrobić. Mark XI to świetny sprzęt. Nietrudno z jego pomocą zrobić coś niewykonalnego. – Uśmiechnął się szczerze. – Co pana do tego skłoniło? Ma pan dość leczenia kolejnych narkomanów?

– Coś w tym rodzaju – skwitował pytanie Warren.

Opuszczając Parkera, który z zadowoleniem mruczał coś do siebie na temat baterii i obwodów, ostrzegł go, że rozmowa jest na razie niezobowiązująca. A jednak, podkreślając z naciskiem wstępny charakter wszelkich uzgodnień, wiedział, że angażuje się w sprawę coraz bardziej.

7

Warren zatelefonował do Andrew Toziera.

– Mogę liczyć dziś wieczorem na twoje wsparcie, Andy?

– Jasne, doktorku. Moralne czy fizyczne?

– Możliwe, że jedno i drugie. Zobaczymy się w Howard Club. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem – odparł Tozier. – Mógłbyś wybrać lepsze miejsce, jeżeli chcesz tracić pieniądze, doktorku. To pierwszej wody szulernia.

– Uprawiam hazard, Andy – stwierdził Warren. – Ale nie chodzi o pieniądze. Trzymaj się z boku, dobrze? Poproszę cię, gdybyś był potrzebny. Zjawię się tam o dziesiątej.

– Rozumiem. Potrzebujesz ubezpieczenia.

– Właśnie – przytaknął Warren i odłożył słuchawkę.

Howard Club mieścił się w Kensington, ukryty dyskretnie w jednym ze starych wiktoriańskich domów w szeregowej zabudowie. W odróżnieniu od klubów w Soho, nie było tam błyskających neonów, które reklamowałyby grę w oko i ruletkę, gdyż lokal nie należał do tanich. W Howard Club nie kupowało się żetonów za pół funta.

Tuż po dziesiątej Warren przeszedł przez salę gry w kierunku baru. Miał pełną świadomość, że jego wizyta wzbudziła zainteresowanie personelu. Kiedy się pojawił, portier podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu

i wiadomość dotarła szybko do jego zwierzchników. Warren przyglądał się przez chwilę ruletce i pomyślał drwiąco: „Gdybym był Jamesem Bondem, rozbiłbym bank”.

Przy barze zamówił szkocką, a kiedy barman postawił ją przed nim, usłyszał beznamiętny głos, mówiący z amerykańskim akcentem:

– To będzie na koszt firmy, doktorze Warren.

Odwrociwszy się, ujrzał za sobą Johna Folleta, szefa klubu.

– Co pan porabia w tej części Londynu? – zapytał Follet. – Jeżeli szuka pan którejs z swoich zagubionych owieczek – to tu jej pan nie znajdzie. Nie przepadamy za nimi.

Warren zrozumiał bardzo dobrze, że to ostrzeżenie. Zdarzało się już, że niektórzy z jego pacjentów próbowali dorobić się szybko fortuny, żeby móc zaspokajać narkotyczny głód. Nie udawało im się to, oczywiście, a kiedy tracili panowanie nad sobą, wszystko kończyło się awanturą. Zarząd Howard Club nie lubił awantur – psuły atmosferę szacownego lokalu – poradzono więc Warrenowi, żeby pilnował swoich chłopców

Uśmiechnął się do Folleta.

– Tylko się rozglądam, Johnny. – Wziął do ręki szklanke. – Napijesz się ze mną?

Follet skinął na barmana i stwierdził:

– W każdym razie, miło pana widzieć.

Wkrótce zmienisz zdanie – pomyślał Warren, głośno zaś powiedział:

– Mówisz o pacjentach, Johnny. To chorzy ludzie. Nie rządzą nimi. Nie jestem przywódcą ani nikim w tym rodzaju.

– Możliwe – odparł Follet. – Ale kiedy ci pana narwańcy dostają szajby, mogą narobić niewiarygodnie wiele szkód. A tylko pan potrafi utrzymać ich w ryzach.

– Rozgłosiłem wszędzie, że nie są tu mile widziani – odparł Warren. – I to wszystko, co mogę zrobić.

Follet odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

– Rozumiem, doktorze. To mi w zupełności wystarczy.

Warren rozejrzał się po sali i zobaczył, że Andrew Tozier stoi przy najbliższym stoliku do gry w oko.

– Nieźle się wam powodzi – powiedział zdawkowo. Follet prychnął pogardliwie.

– W tym zwariowanym kraju nikomu nie może się dobrze powodzić. Musimy grać w ruletkę bez zera, a to jest nie do przyjęcia. Żaden klub nie może funkcjonować nie mając forów.

– No, nie wiem – stwierdził Warren. – Klient i klub mają równe szanse, więc jest to uczciwe. Poza tym macie dochód ze składek członkowskich, z baru i restauracji.

– Czy pan oszalał? – naskoczył na niego Follet. – To nie działa w ten sposób. W każdej grze, która stwarza równe szanse, bogaty szczęściarz zawsze bije na głowę szczęściarza bez forsy. Stwierdził to już w 1713 roku Bernoulli. To tak zwany paradoks z Sankt Petersburga. – Wskazał ręką na stół z ruletką. – To koło przynosi pięćdziesiąt tysięcy funtów. A na ile wycenia pan naszych klientów? Jesteśmy zmuszeni grać, przy równych szansach, przeciwko wszystkim. Można więc uznać, że nasz przeciwnik dysponuje nieograniczonymi funduszami. Na dłuższą metę dostajemy w kość i to nieźle.

– Nie wiedziałem, że tak dobrze znasz się na matematyce – zauważył Warren.

– Jeżeli ktoś w tej branży się na niej nie zna, szybko bankrutuje – odparł Follet. – I najwyższa pora, żeby w waszym brytyjskim prawodawstwie zatrudniono paru matematyków. – Rzucił Warrenowi gniewne spojrzenie. – To nie wszystko. Weźmy grę w oko. Kiedyś była zakazana, bo nazywano ją „gra przypadku”. Teraz, kiedy takie gry zalegalizowano, znów chcą jej zabronić, ponieważ dobry gracz ma w niej możliwość pokonać złego. Sami nie wiedzą, czego chcą, do cholery.

– Czy dobry gracz może wygrać w oko? – zainteresował się Warren. Follet przytaknął.

– Wymaga to fenomenalnej pamięci i żelaznych nerwów, ale jest możliwe. Szczęście dla klubu, że niełatwo o takich facetów. Przy grze w oko możemy ryzykować, ale w ruletce musimy mieć przewagę. – Wpatrywał się smętnie w dno szklanki. – A nie widzę na to większej szansy, przynajmniej przy aktualnych przepisach.

– Wszędzie jest ciężko – stwierdził Warren, nie okazując współczucia. – Może powinienś wrócić do Stanów.

– Nie, jeszcze trochę się tu pokręcę. – Follet opróżnił szklankę.

– Nie odchodź – zatrzymał go Warren. – Nie przyszedłem bez powodu. Chciałem z tobą pogadać.

– Jeżeli chodzi o datek dla pańskiej kliniki, już figuruję w księgach.

Warren uśmiechnął się.

– Tym razem chcę tobie dać pieniądze.

– Tego warto posłuchać – zainteresował się Follet. – Niech pan mówi dalej.

– Planuję zorganizować małą ekspedycję – wyjaśnił Warren. – Zapłata nie jest wysoka – powiedzmy dwieście pięćdziesiąt miesięcznie, przez pół roku. Ale jeżeli wszystko dobrze pójdzie, na koniec będzie premia.

– Dwieście pięćdziesiąt miesięcznie! – Follet roześmiał się. – Niech się pan rozejrzy i zobaczy, ile zarabiam. Proszę wymyślić coś lepszego, doktorze.